TYDZIEŃ

Nr 24 (48) ROK II

15. VI. 1947

CENA 20 ZŁ



DZIŚ: JAN HUSZCZA, TADEUSZ ŁOPALEWSKI, ZBIGNIEW MITZNER, KAROL STROMENGER, JERZY WIECHECKI, JERZY WYSZOMIRSKI

tak i nie

NASZA OKŁADKA



Rys. Tadeusz Krzyszak

Wywozimy gruzy. Odbudowujemy kraj ze zniszczeń wojennych.

Artykuł Elliota Roosevelta



Elliot Roosevelt rysowany przez Bernarda Millerta

Syn wielkiego prezydenta—Elliot Roosevelt, zamieścił w paryskim piśmie „Les Lettres Françaises“ ostry artykuł, atakujący obecną politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych. Motto tego artykułu brzmi: „Naszymi milionami posługujemy się jak rewolwerem, wymierzonym w plecy, wygłodzonych narodów Europy“.

Młody Roosevelt atakuje przede wszystkim decyzję udzielenia pomocy rządom Grecji i Turcji. „Jakież są te rządy — pisze on — które chcemy podtrzymać? Czy są demokratyczne. Sądzę, że nawet najbardziej reakcyjne dzienniki amerykańskie nie zakwalifikują rządu greckiego i tureckiego do rzędu demokratycznych... Czy taki był cel prowadzonej przez nas wojny? Wiadome jest, że Turcja nie okazywała nam przyjaźni w toku wojny, aż do chwili, kiedy była pewna, że ją wygramy. Turcja dzisiejsza nie jest na pewno, ani krajem wolności, ani demokracji, a więc dlaczego mieszać się mamy w jej sprawy... Pod koniec wojny narody Dalekiego Wschodu, narody Bliskiego Wschodu i narody całej Europy zwracały się z podziwem i z nadzieją ku Stanom Zjednoczonym, sądząc, iż pomogą im one utrwalić rządy wolności i demokracji. Liczyły one, że Stany Zjednoczone wprowadzą w życie Kartę Atlantycką. Czym im na to odpowiedzieliśmy? Stany Zjednoczone nie protestowały w dniu, kiedy mocarstwa europejskie zapragnęły siłą przywrócić swą władzę w koloniach. Nie weszły na drogę denazifikacji Niemiec. Brały udział w organizowaniu UNRRA, ale następnie storpedowały ją, uzależniając plon od warunków politycznych... Wydaje się, iż nasi mężowie stanu działając tak, nie osiągną celu wobec ZSRR, gdyż sądzą, że komunizm i demokracja nie mogą w świecie żyć obok siebie w spokoju. Przeczę temu punktowi widzenia... Chciałbym, aby Amerykanie zdali sobie sprawę, że w rozpoczynającej się grze ryzykują więcej niż dolary. Jeśli zniszczymy organizację Narodów Zjednoczonych, zniszczymy równocześnie naszą ostatnią szansę pokoju.“

Dobry przykład

ŚWIAT jest w ostatnich czasach tak zaabsorbowany wiadomościami, które przesadnie uwypuklają różnice zdań na polu polityki międzynarodowej, że drobne wydarzenie w świecie muzycznym może służyć jako przykład godny naśladownictwa na arenie międzynarodowej. Rzecz działa się w Berlinie. Amerykański dyrygent John Bitter zaprezentował słuchaczom dzieło znakomitego kompozytora radzieckiego, Dymitra Szostakowicza — suitę angielskich i amerykańskich melodii ludowych.

Mamy nadzieję, że przykład ten będzie zaraźliwy i w polityce.

Głos Ameryki

W CZASIE wojny Stany Zjednoczone zainaugurowały własną sieć radiostacji nadawczych, które informowały świat cały o wydarzeniach wojennych i politycznych. Były to jedyne stacje w Ameryce, należące do rządu, a nie do prywatnych osób i koncernów przemysłowych. Ten stan rzeczy nie podobał się oczywiście kapitalistom. Przypuścili atak na „Głos Ameryki“, zostali jednak pokonani w zwycięskiej kontrofensywie wszystkich generałów, wchodzących w skład rządu. Jedyna zmiana: Stacje nie nazywają się już „Głos Ameryki“ a „Głos Stanów Zjednoczonych“.

Generał Marshall wydał taką opinię o celowości tych audycji: „Nie mamy pojęcia jak mało nas rozumieją...“.

Rzeczywistość węgierska

SENSACYJNE okoliczności towarzyszące dymisji b. premiera Nagy odwróciły uwagę świata od naprawdę ważnych przemian zachodzących na Węgrzech. Kraj żyje swoim planem trzyletnim, który ma zapewnić osiągnięcie standartu życiowego z r. 1938, który był najwyższy w dziejach Węgier. Najważniejszym społecznie jest plan szkoleniowy, który ma doprowadzić do zapełnienia luk w aparacie urzędniczym i fachowo robotniczym. Kandydaci lokowani są przeważnie w bursach według upatrzonej specjalności. Jedna tylko gałąź przemysłu wykształci w ciągu 3 lat 5000 specjalistów techników.

Węgrzy wierzą w powodzenie swego planu trzyletniego i żartują sobie wesoło z przejściowych niedomagań swego aparatu administracyjnego. Wielkim powodzeniem cieszyła się karykatura w piśmie „Szabad Szaj“. Niemowlę, leżące w wózku woła płaczliwie do drugiego bobasa: „To skandal, ty już jesteś dyrektorem departamentu, a ja wciąż jeszcze jestem naczelnikiem wydziału“.

Tusz na cześć poety

ANTONI Słonimski przybył znów do kraju. Jak wiadomo, przebywa on obecnie stale w Paryżu, gdzie pełni obowiązki kierownika sekcji literackiej UNESCO. Jak już wyjaśniano kilkakrotnie, UNESCO nie jest to nazwisko rumuńskiej księżnej, ale skrót nazwy międzynarodowej organizacji dla spraw nauki, wychowania i kultury.

Warszawa niezwykle serdecznie przywitała swego poetę. Kiedy Słonimski w ubiegłą niedzielę zjawił się w „Paradisie“, orkiestra wykonała wielki tusz, a publiczność oklaskiwała go serdecznie.

Autor „Wieży Babel“ był szczerze wzruszony, tak przed wojną nie witano poety w Polsce.

Kocioł środkowo-amerykański

ROLA awanturników amerykańskich w kolejnych rewolucjach w środkowo- i południowo - amerykańskich republikach jest na ogół dobrze znana, choć przeważnie trudno zdobyć o niej dokładniejsze informacje. Jest to zrozumiałe, gdyż zarówno sami wykonawcy, jak ich zleceniodawcy lubią ukrywać się w cieniu. Zleceniodawcy niechętnie wychylają swe nosy poza eleganckie biura.

Ostatnie doniesienia prasy amerykańskiej mówią o wykryciu następujących przygotowań do przewrotów: w Costarice, gdzie grupa 1000 rewolucjonistów uzbrojona w karabiny maszynowe, lekką artylerię i dwa bombowce przygotowała zamach. W Baltimore aresztowano 3 obywateli amerykańskich (jeden nazywa się Karl Johann Eisenhardt) za posiadanie 21 karabinów maszynowych. Tłumaczyli się, że broń była przygotowana dla dokonania zamachu w Venezueli. W Nowym Orleanie aresztowano dwóch innych Amerykanów za posiadanie dwóch łodzi desantowych, czterech tanków i czterech ciężkich samolotów bombardujących. Wyjaśnili bardzo wiarogodnie, że całe to uzbrojenie było im potrzebne dla dokonania wyrębu drzew mahoniowych w Brytyjskim Hondurasie.

Ostrze na ostrze

DESZCZ I „ŻELAZNA KURTYNA"

Źle się zaczęło dziać na ziemi. Po mrozach i zamieciach — powódź, po powodzi — żar i susza. Biadając gorzko w przewidywaniu klęski nieurodzaju, ludzie zaczęli głośno oskarżać spółdzielnię „Pogoda“ o lekkomyślność i braki organizacyjne, ba — o wręcz złośliwy sabotaż. Cóż jednak począć miała biedna spółdzielnia, skoro niebiański Wydział Rozdziału i Kontroli Opadów w połączeniu ze Zjednoczeniem Przemysłu Deszczowo - Słonecznego przeciwko niej się sprzysięgły. Z pustego nie nalejesz. Zwłaszcza, gdy dodatkową szkodliwą inicjatywę prywatną rozwinęły wiatry, spekulując chmurami w sposób absolutnie dowolny i niekontrolowany?!

Potrzeba było widocznie zjednoczonej akcji społecznej kilku grzmotów i piorunów, aby wszystko zaczęło znów prawidłowo działać. Deszcz, upragniony i oczekiwany deszcz pokropił ziemię i ludzie odetchnęli.

*

Jak się okazało, jednomyślność jest w narodzie. Nie było ostatnio bardziej popularnego i bardziej pasjonującego tematu, jak pogoda. Wszyscy się martwili brakiem deszczu, z wyjątkiem może poniektórych dewotek, upatrujących w tym fakcie kary niebios za bezbożność oraz pewnej kategorii społecznych gryzoniów — amatorów kolekcjonowania nadmiernych ilości zboża, którzy obecnie mają wiele innych powodów do zmartwienia w charakterze pensjonariuszy Komisji Specjalnej...

Deszcz spadł. Okazało się, iż bezbożność niekoniecznie musi być następstwem tego, co okrzyczano, jako bezbożność. Zboże będzie. Równie jednomyślnie wszyscy nabrali otuchy.

Temat ten zaćmił wszelkie inne sensacje, na których brak, mimo tzw. ogórkowego sezonu bynajmniej uskarżać się nie można. Kryzys na Węgrzech, strajki we Francji — wszystko poszło w naszej prasie na plan drugi. Felietony i polemiki, artykuły wstępne i komentarze radiowe: deszcz — bohater dnia. Niczem rzadki gość, mąż stanu niezwykłej powagi lub ulubiona gwiazda filmowa, deszcz nie może się ruszyć bez reportera. Drepczą jego śladami, urywają się telefony od specjalnych wysłanników, usiłujących odgadnąć jego najbliższe zamiary.

— Dokąd się uda?

— Co i gdzie pokropił?

Deszczową gorączką przejęli się nawet zagraniczni korespondenci. Oczywiście, jak zwykle sceptycznie. Szereg instytucji rządowych przeżyło istny najazd tych niedowiarków.

— Czy deszcz pada wszędzie, czy tylko w Warszawie? Czy pada naprawdę w całym kraju?

Nie jestem pewna, czy uwierzyli naszym autorytatywnym zapewnieniom. Niewątpliwie przewidują w tym jakiś fortel polskich czynników miarodajnych. W Warszawie — to tak, trochę na niby, dla pokazu dla zagranicznych gości zarządzono opady, żeby ukryć obawę przed grożącym nieurodzajem. Resztę—wypaloną do cna Saharę, ukryto starannie za żelazną kurtyną...

Zaiste, nieprzenikniona mgła otacza ścieżki myślowe niektórych naszych zagranicznych kolegów. Nie wszystkich, oczywiście. Ale w stosunku do tych, o których wyżej była mowa, niefortunnych badaczy pogody polskiej, zastosować można parafrazę ludowego powiedzonka: „słońce świeci, deszczyk pada, korespondent baśnie składa“...

AVIS

Bośnia 1947

BOŚNIA jest oczkiem w głowie federacyjnej republiki Jugosławii. Przyczyną tego jest, że centralnie położona Bośnia należy do najbardziej zacofanych części kraju. Poza tym Bośnia odgrywała wielką rolę w walkach partyzantów o wolność. W szeregach dzisiejszej armii jugosłowiańskiej służy bardzo wielu Bośniaków, a małe miasteczko Drva dało jej aż 2.000 oficerów. W ramach planu pięcioletniego Bośnia ma udziesięciokrotnić swój przemysł, podczas gdy np. Serbia pomnożył swój potencjał tylko czterokrotnie. W Bośni zostaną wybudowane elektrownie o takiej wielkiej mocy, że produkcja Bośni przekroczy całą obecną wytwórczość prądu elektrycznego Jugosławii.

Nic dziwnego, że w takich warunkach w stolicy Bośni, Sarajewie, zapomniano prawie o tablicy pamiątkowej Gavrilo Principa, który w roku 1914 zabił austriackiego następcę tronu. Natomiast niezmiernie wiele uwagi poświęca się pokazowej lokomotywie, ustawionej na rynku miasta. Na jesieni roku bieżącego ruszy ona na nowywybudowanej rękami młodzieży jugosłowiańskiej linii kolejowej, słynnej Omladinska Pruga, która połączy Sarajewo z linią kolejową Zagrzeb — Białogród.

Repatriacja Jugosłowian

W KOŃCU maja br. na statku Radnik, należącym do floty jugosłowiańskiej, odjechało do swej ojczyzny 500 Jugosłowian z Kanady. Jest to już drugi transport. Z 21.000 Jugosłowian zamieszkałych w Kanadzie od wielu lat, 1.500 zadeklarowało chęć powrotu. Wartość sprzętu technicznego, jaki zabierają ze sobą wynosi ponad milion dolarów.

Odbudowująca się Jugosławia wita ich z radością. Przywożą ze sobą wartości niezmiernie cenne. Przywiązanie do ojczyzny i nabyte doświadczenia.

Lodówki dla Eskimosów

ZE AMERYKANIE są dobrymi kupcami jest to rzecz powszechnie znana. Wszystkie jednak rekordy komiwojażerów zostały pobite przez przedstawiciela jednego z koncernów amerykańskich na Alasce. Sprzedał on Eskimosom w Fairbansk 6 lodówek.

Reporter, który doniósł o tym wiekopomnym wydarzeniu przemilczał starannie argumenty, jakie zostały użyte dla zainteresowania nabywców. Może kupili jako kasy pancerne?

Teatr Polski wyjaśnia



Dyr. Teatru Polskiego A. Szyfman

W odpowiedzi na naszą notatkę, zamieszczoną w poprzednim numerze, w której komunikowaliśmy czytelnikom, że nie możemy zamieścić recenzji ze sztuki Ostrowskiego „Wilki i Owce“ z powodu nie przysłania nam zaproszenia — otrzymaliśmy wyjaśnienie od Dyrekcji Państwowego Teatru Polskiego.

Z wyjaśnienia tego wynika, że goniec teatralny nie mógł doręczyć nam tego zaproszenia z powodu zamknięcia lokalu. Nie wiemy, o której godzinie w nocy biega goniec p. Szyfmana po mieście, pewne jest natomiast, że drzwi naszej Redakcji w godzinach biurowych, od 8-ej do 3-ciej, są zawsze otwarte. Pewne jest także, że pismem z dnia 7 lutego br. L. dz. 68/47 zwróciliśmy się do dyrekcji tegoż teatru o przesyłanie nam biletów, na co żadnej odpowiedzi nie otrzymaliśmy.

tak i nie STRONA 4

ZBIGNIEW MITZNER

SAMOPOMOC EUROPEJSKA

NIEWĄTPLIWIE najdonioślejszym wydarzeniem politycznym i gospodarczym w Polsce jest od kilku dni fala deszczów, przechodząca nad całym krajem. Deszcze są tematem rozmów prywatnych i publicznych i tematem zainteresowań naszej prasy. Opady są witane z radością i z uczuciem powszechnej ulgi: zdawało się bowiem, że po klęsce wojny, śniegów, mrozów i powodzi nie zostanie nam oszczędzone jedna jeszcze klęska, klęska suszy. Czym ona byłaby dla nas, rozumie to dobrze każdy. Susza spowodowałaby znaczne zmniejszenie zbiorów, pogłębiłaby nasze braki żywnościowe i postawiła kraj w obliczu głodu.

Ale dzisiaj wiemy, że zbiory złe nie będą, że nie będzie suszy, że zboże na chleb wzrośnie normalnie. W ten sposób przyroda dała nam przekonywującą lekcję, jak ważne są sprawy gospodarcze, zwłaszcza dla Polski w obecnym okresie odbudowy. Dobre zbiory, to zresztą nie tylko kwestia gospodarcza, ale także i polityczna. Kraj słaby gospodarczo, kraj niesamowystarczalny żywnościowo, szukać musi pomocy u tych, którzy jej udzielić mogą.

TAKIM krajem są dziś przede wszystkim Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Niestety zaczynają one wprowadzać w życie doktrynę udzielania pomocy pod warunkami politycznymi, stawiającymi pod znakiem zapytania suwerenność państw uboższych. Nie oznacza to, że uniknięcie klęski suszy stawia Polskę poza kręgiem potrzebujących pomocy. Niewątpliwie jednak gwarancja dobrych zbiorów wzmacnia nas i pozwala nie być zbyt podatnymi na stawiane warunki.

Zresztą sytuacja całej Europy jest podobna — wyszła ona z wojny osłabiona ludzko i gospodarczo, co przejawia się szczególnie drastycznie w porównaniu z nienaruszonymi zasobami i nienaruszonym potencjałem przemysłowym Ameryki.

DOKTRYNA amerykańska zmiany istoty pomocy na interwencję polityczną znajduje się w okresie kształtowania. Przy czym rozróżniać należy jej etapy. Na innym znajduje się jeszcze prezydent Truman, na innym, bo dalszym, były prezydent Hoover. Podczas, gdy pierwszy ze względu na swą oficjalną pozycję realizować pragnie zasady interwencji stopniowo i starając się je maskować, to drugi rozwija myśl dalej, dążąc do przeprowadzenia planu w całości ze specjalnym uwzlędnieniem Niemiec i Japonii.

Sprawa udzielania przez Stany Zjednoczone pomocy Europie to nie jest dla nich zagadnienie filantropii, ale zagadnieniem własnego interesu. Jeśli bowiem Europa nie podniesie się szybko gospodarczo, nie będzie mogła spełniać należycie swych funkcyj klienta przemysłu amerykańskiego, co znowu z kolei grozi Ameryce załamaniem gospodarczym. Trzeba więc we własnym interesie udzielić kredytu państwom europejskim, aby nie obniżały one nadal swego standartu życiowego i były zdolne handlować z USA. Połączenie przez nich zagadnienia transakcyj handlowych, korzystnych dla obu stron, z żądaniami politycznymi może mieć przykre konsekwencje dla tych, którzy je wysuwają.

W OSTATNICH dniach bowiem obserwujemy coś w rodzaju przeciwdziałania Europejczyków przeciwko tym zakusom amerykańskim.

Ciekawe, że to przeciwdziałanie pochodzi od najbardziej skrajnego cypla Europy, od Anglii. Niewątpliwie podpisanie układu handlowego polsko-brytyjskiego, którego dokonano wczoraj w Londynie, jak i zapowiedziana wizyta ministra Noel Bakera w Belgradzie oraz zapowiedź rozpoczęcia rokowań handlowych anglo - radzieckich — są przejawem tej samej chęci uniezależnienia się od Stanów Zjednoczonych.

Akcję wymiany towarów, wzmożonego eksportu i importu między poszczególnymi krajami, możnaby nazwać akcją samopomocy i samoobrony europejskiej. Źródła radzieckie podają, że eksport brytyjski do Związku Radzieckiego w przeciągu pierwszego kwartału r.b. wyniósł ponad 7.000.000 funtów szterlingów podczas gdy w roku ubiegłym wartość tego eksportu w takim samym okresie wynosiła zaledwie 140.000 funtów.

W ten sposób realizuje się praktycznie, pod naporem konieczności nie proniemiecka i antyradziecka polityczna Paneuropa Churchilla a istotna wspólnota narodów europejskich, potrzebujących wzajemnie swojej żywności, swoich maszyn, swoich surowców i swoich wyrobów przemysłowych.

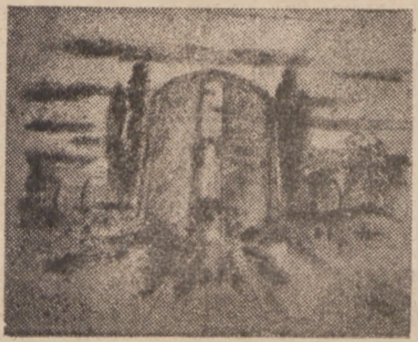
OŻYWIENIE tej wymiany jest realizacją jakiegoś izolacjonistycznego programu europejskiego. Jest ono narzucone koniecznością, a cechuje je świadomość, że lepiej by było, gdyby normalne stosunki gospodarcze łączyły tak nie tylko kraje europejskie między sobą, ale i także biedną Europę z bogatą Ameryką.

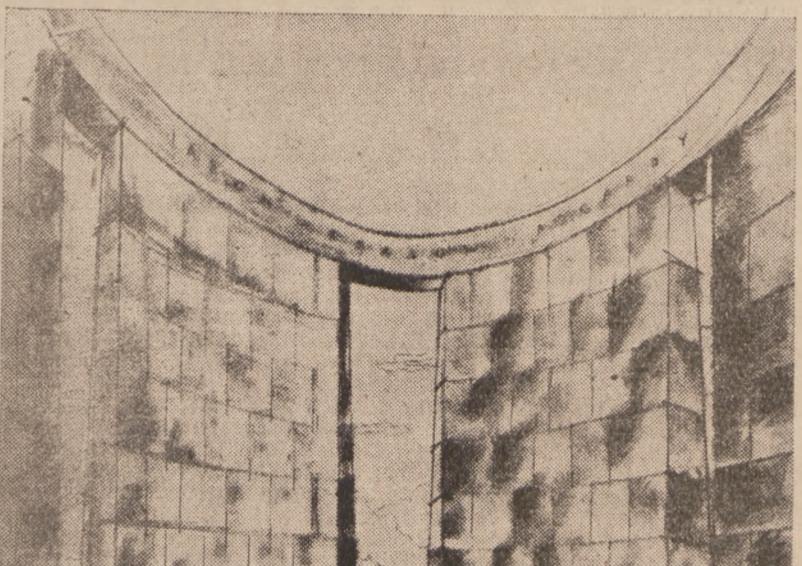
DESZCZE padają nie tylko nad Polską, ale i nad całym kontynentem. Ta przykra i dokuczliwa dla jednostek pogoda witana jest przez wszystkich z radością. Niesie ona zapowiedź polepszenia warunków naszego bytu.

OFIAROM CZASÓW POGARDY

Odbywający się w Oświęcimiu zjazd byłych więźniów tego obozu raz jeszcze przypomina nam mękę i bohaterstwo milionów ludzi, walczących z faszyzmem.

W związku z tym reprodukujemy szkic jednego z projektów pomnika ofiar hitlerowskich obozów koncentracyjnych.





Pomnik ma mieć monumentalną wysokość 15 metrów i takąż średnicę. Projektowany jest z materiału z kamieniołomów obozów Europy. Na granitowym cokole leży wieniec z drutu kolczastego, wewnątrz wieńca pali się znicz. Autorem projektu jest inż. arch. Wiktor Reiff.

tak i nie

Książka zbliża narody



Fot. „Film Polski"

W gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie otwarto międzynarodową wystawę książki dla dzieci. Młodociana publiczność przed stoiskiem Czechosłowacji.

Bigamiści angielscy

ANGIELSKIE władze sądowe są przerażone rosnącą falą bigamii. Jest to co prawda częściowo normalne zjawisko powojenne, jednak wzrost spraw o bigamię o przeszło 40 procent przeraził już nie tylko prawników, ale również władze administracyjne. Rzeczą niezmiernie ciekawą jest, że większość bigamistów, to ludzie dojrzali w wieku ponad 30 lat.

Celem zwalczania szerzących się nielegalnych podwójnych małżeństw brytyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych zarządziło wprowadzenie nowych dowodów osobistych, w których oprócz danych dotychczasowych uwidocznione zostaną dane o zawartym małżeństwie i ewentualnym rozwodzie.

Postępy techniki w ZSRR

W ZWIĄZKU Radzieckim dokonano ciekawych doświadczeń w dziedzinie budowy lokomotyw i wagonów kolejowych z lekkich metali, zamiast żelaza i stali. Konstrukcja oparta jest na doświadczeniach zdobytych przez przemysł budowy samolotów. Wykonano już szereg prób, stosując jako materiał podstawowy stop duraluminium i stali. Obliczono również, że pociąg złożony z lokomotywy i wagonów nowej konstrukcji zaoszczędzi 60 procent paliwa.

Podobne próby zostały dokonane również w Stanach Zjednoczonych. Niewątpliwie nasi konstruktorzy zainteresują się tymi zmianami w budowie taboru kolejowego.

Lynch, lynch...

TRAGICZNE wieści o lynczowaniu Murzynów nie ustają. Ostatnio na skutek usilnych zabiegów centralnych władz amerykańskich doszło do aresztowania 31 sprawców zamordowania murzyńskiego szofera. Proces odbywał się przed sądem przysięgłych w Greenville (stan Południowa Karolina). W śledztwie 26 oskarżonych przyznało się do udziału w lynczowaniu Murzyna. W czasie przewodu sądowego 12 oskarżonych wskazało na jednego ze wspólników, jako bezpośredniego sprawcę śmierci Murzyna. Prokurator wnosił o ukaranie. Zawodowy sędzia wskazał przysięgłym na konieczność kierowania się zasadami prawa, a nie uprzedzeniami rasowymi. Werdykt przysięgłych był jednomyślny: wszyscy są niewinni!

Amerykańska procedura nie zna możliwości rewizji procesu. Mordercy są wolni.

„Mała Szczęśliwość"

JAKIE poetyckie imię nosi popularny w Szanghaju piosenkarz tamtejszego radia, noszącego niemniej poetyczną nazwę: „Głos Niebios".

W czasie, gdy kilogram ryżu kosztuje 5000 dolarów chińskich, Mała Szczęśliwość śpiewał z wielkim powodzeniem piosenkę o krwiopijcach, którzy zjadają ryż biednych ludzi. Sukces był olbrzymi, ze wszystkich stron domagano się stale powtarzania piosenki, we wszystkich programach radiowych. Nie spodobało się to jedynie handlarzom ryżu, przeciwko którym piosenka była wymierzona. Trzystu kupców chińskich zebrało się przed magistratem, a następnie udało się do studia „Głosu Niebios" i zdemolowało urządzenia. Wieczorem tego samego dnia dokonali napadu na mieszkanie prywatne piosenkarza i nie zastawszy go w domu, pobili jego żonę.

Wojna skończyła się nierozegrana: Mała Szczęśliwość śpiewa nadal, a ceny ryżu ponownie zwyżkowały. Niezadowoleni są jedynie kulisi, ale o nich mało kto się troszczy w kraju Kuo - Min - Tangu. Jest ich przecież więcej niż ryżu.

Oryginalne samobójstwa

JAPONIA, ojczyzna harakiri, przoduje nadal w oryginalnych samobójstwach. Oto kilka przykładów:

Niejaki Motoichi Morita został wybrany do rady gminnej. Kontrkandydatem był jego osobisty przyjaciel. Wielce zmartwiony swoim wyborem — powiesił się.

W Tanimura dla odmiany niefortunny kandydat popełnił samobójstwo odgryzając sobie język. Umarł wskutek upływu krwi. W Tokio rzucił się pod pociąg policjant japoński, ponieważ nie mógł znieść nieuczciwości panoszącej się w tamtejszych organach bezpieczeństwa.

Najoryginalniejszy samobójca to niejaki Kuryama, który skoczył do komina fabrycznego. Nie zabił się jednak. Sadze nagromadzone w dawno nieczyszczonym kominie osłabiły upadek.

Natomiast nie zanotowano ostatnio wypadków popełnienia samobójstwa, tradycyjnego przy pomocy miecza samurajów.

Generał Franco otrzymuje 200 milionów dolarów od St. Zjednoczonych



(Rys. Julian Żebrowski)

BOGATY WUJASZEK Z AMERYKI CZYLI „GRUNT TO RODZINKA"

TAKA ROZMOWA BYŁA...

Jak się zaczyna „Promethidion" norwidowski? „Taka rozmowa była o Szopenie, który naczelnym u nas jest artystą..." I kilku panów rozprawia. Jeden widzi w Szopenie polski rozmach, drugi ludowość, trzeci melodyjność... Ale co to jest Szopen, nikt nie wie. Nie: kto to jest, lecz: co. Bo — kto jest Szopen, wszyscy wiedzą: genialny kompozytor polski. Ale co to jest Szopen jako zjawisko w sztuce polskiej i europejskiej? Jakie były jego przyczyny i skutki? Na czym polega jego znaczenie? Co stanowi jego istotę. Podobnych pytań, które by chciały przeniknąć Szopena i wyznaczyć mu miejsce w kulturze polskiej i wszechludzkiej, może być więcej. I kto wie, czy nie pozostaną one wreszcie bez odpowiedzi.

Dialog norwidowski wciąż mi chodził po głowie, gdym kilka dni temu znalazł się w inteligentnym towarzystwie, które również rozprawiało. Rozmowa toczyła się życzliwie, w zacisznym pokoju, wyścielonym dywanem; rozmówcy siedzieli w wygodnych fotelach, zapijając aromatyczną herbatę i zagryzając biszkopciki, które dyskretnie a czujnie podsuwała pani domu. Rozmowa zaczęła się od artykułu Jerzego Zawieyskiego p.t. „Zagadnienie literatury katolickiej", ogłoszonego w ostatnim (23/116) numerze „Tygodnika Powszechnego".

— Nie ma tam myśli oryginalnych — powiedział jeden z rozmówców: — jest to właściwie wykład teorii Maritaina, znanych już przed wojną.

— Maritain jest zawiły i trudny w czytaniu — rzekł inny: — usiłowałem kiedyś przestudiować jego „Naukę i mądrość". Nie mogłem. Rzecz szczególna, że myśliciele katoliccy posługują się tak specjalnym stylem — niemal dla wtajemniczonych. Weźmy np. to zdanie Maritaina, jedno z najprostszych, cytowane przez Zawieyskiego — i rozmówca otworzył „Tygodnik": — „Sztuka w pojmowaniu scholastyków należy przede wszystkim do porządku intelektualnego, akcja jej polega na wyciśnieniu idei na materii, a więc mieści się ona w intelekcie artifexa, lub inaczej — dusza stanowi jej podmiot". Mimo najlepsze chęci, nie rozumiem.

— Istotnie — odezwał się trzeci: — co to może znaczyć: „sztuka mieści się w intelekcie artifexa" czyli artysty? Podmiotem sztuki jest dusza? Czy można na podstawie tego wnioskować, że intelekt i dusza, to pojęcia identyczne? A może intelekt jest siedliskiem duszy.

— Myśliciele katoliccy powinni by pisać jak najprościej — wtrącił ktoś: — zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy poziom kultury i wykształcenia tak się obniżył. Powinno by im chodzić o to, by ich rozumiały najszersze masy, nie elita. Pięknie powiedział Słowacki: „mów do nas prosto a z krzykiem!"

— Czy zwróciliście państwo uwagę na to — podjął pierwszy: — jakich pisarzy wysuwa Zawieyski na czoło literatury katolickiej, jako najbardziej dla niej reprezentacyjnych? Oprócz Mauriaca i Claudela, katolików z dziada pradziada, troje nawróceńców: Sigridę Undset, Newmana i Chestertona. Wielkie talenty, ale wszscy troje protestanci, którzy przeszli na katolicyzm, i to w późniejszym wieku. Chesterton miał chyba pięćdziesiątkę, gdy się nawrócił. Czy w tak późnym wieku można się stać całkowicie pisarzem katolickim, integralnym — jakby powiedział Maritain? Szczególnie reprezentacyjnym? Moim zdaniem, zrozumienie katolizyzmu, wchłonięcie jego ducha i treści wymaga dłuższego procesu. Wiem wprawdzie, że można osiągnąć stan łaski, ale łaska — to sprawa, powiedzmy, irracjonalna. Trzeba także przetworzyć, przebudować swój umysł.

— No — rzekł ktoś: — cytowano tu przed chwilą zdanie Maritaina. Wygląda na to, że umysł czyli intelekt i dusza — to jedno. Jeśli łaska oświeci duszę, tym samym może oświecić intelekt i przetworzyć go.

— Trudne to rzeczy—westchnął w szczerej trosce pan, który cytował: — Jaka szkoda, że to wszystko nie jest powiedziane przystępnie. Muszę wyznać, że się wprost rzuciłem na artykuł Zawieyskiego. Człowiek jest dziś zabłąkany w tzw. rzeczywistości. Jak żeglarz — bez steru i busoli. Chciałby coś wiedzieć, powziąć pewność czegoś. A że jest laikiem w wielu sprawach wysokich i górnych, chciałby, żeby mu to ktoś po ludzku wytłumaczył. Jako inżynier z zawodu, uważam siebie za człowieka o tyle o ile inteligentnego, ale nie mam po prostu czasu na wgryzanie się w taka np. definicję Maritaina, przytoczoną przez Zawieyskiego: „Sztuka chrześcijańska jest to sztuka ludzkości odkupionej i jest rzeczą naturalną, iż przynosi ona owoce chrześcijańskie".

— A może Maritain jest źle przełożony na język polski, i stąd nieporozumienia stylistyczne i zawiłości? — przerwał ktoś.

— Nie wiem, bo oryginału nie znam. Ale dla mnie, powiedzmy, niewątpliwym pisarzem chrześcijańskim jest Żeromski. Natomiast śmiem sądzić, że nie będzie on takim dla Zawieyskiego i dla wielu katolików. A Sigrida Undset jest dla nich reprezentacyjna. Jak to wszystko pogodzić?

— To prawda — rozległ się czyjś głos: — Ciekawe, dlaczego Zawieyski w ogóle nie wymienia ani jednego polskiego pisarza katolickiego. Samych cudzoziemców, i to tak mało znanych przeciętnemu czytelnikowi, jak dajmy na to, Gertruda von le Fort. Nas Polaków obchodzą przede wszystkim nasi pisarze katoliccy. Czyżbyśmy ich nie mieli.

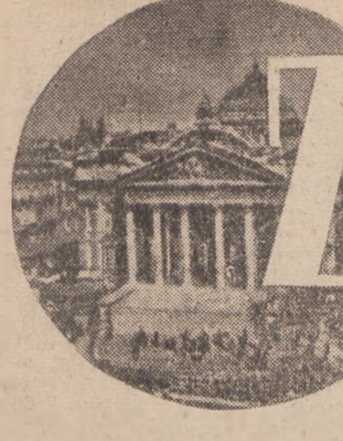
— Rzeczywiście — ktoś się ozwał: — Należy wątpić, czy oprócz wzmiankowanego Żeromskiego, taki Prus, Orzeszkowa, Świętochowski, Wyspiański mogą być uznani przez prawowiernego katolika za pisarzy katolickich.

— Za to Rodziewiczówna — rzekł jakiś ironista: — albo Konrad Górski, mętny krytyk i publicysta. Proszę, w tymże numerze „Tygodnika" mamy jego artykuł o personalizmie w wychowaniu. Autor stwierdza co następuje: „Wychowanie szkolne w Polsce między wojnami opierało się w zasadzie o tendencje personalistyczne, ale nie realizowało ich konsekwentnie ani w teorii, ani w praktyce. Ten właśnie brak konsekwencji był przyczyną wadliwego wychowania wielu ludzi i przyniósł w praktyce ich załamanie się w chwilach trudnych... Jeśli załamywały się jednostki, to naród jako całość zdał egzamin dziejowy, a wraz z nim wychowanie o typie personalistycznym". Więc, logicznie rozumując, wychowanie w Polsce międzywojennej nie było personalistyczne, bo „nie realizowało konsekwentnie tendencyj personalistycznych" (co za język!), skutkiem tego wielu ludzi się załamywało. Co to byli za ludzie? Chyba inteligencja, której zgangrenowanie wystawił pisarz również katolicki, Stefan Kiedrzyński, w „Sprzysiężeniu". Mimo to, naród się nie załamał. Dobrze. Prawda. Ale, co to znaczy „naród"? Może masa pierwotna, najbardziej odporna? Może chłop? Lud — który potęgą jest i basta? Ale czy ten lud otrzymywał i otrzymuje w ogóle jakieś konsekwentne wychowanie? I z tego całego mętliku robi Górski wywód, że wychowanie personalistyczne, którego, ściśle biorąc, nie było, zdało właśnie wraz z narodem egzamin. Nic nie rozumiem.

— Bo pisarstwo — zapragnął ktoś rozstrzygnąć sprawę: — i katolickie i każde inne jest przede wszystkim związane z ogólnym poziomem kultury...

Rozmowa przeskoczyła nagle na zagadnienie kultury. Ale felieton się kończy. Trzeba ją będzie zreferować w następnym.

JERZY WYSZOMIRSKI



Jerzy Wiechecki

ZIELONE ŚWIĄTKI po brukselsku

(KORESPONDENCJA WŁASNA „TYGODNIA")

BRUKSELA, w maju.

Tegoroczny maj obdarzył Brukselę nadzwyczajnymi przydziałami słońca i ciepła. Nieprzywykłych do takiej szczodrości natury Belgów przyprawia to o głęboki niepokój. Sprzedawca gazet na rogu, fryzjer, sklepikarz i przygodny sąsiad w tramwaju zaczepia cię nieodmiennym: „Il faut chaud aujourd'hui" — i kiwa głową ze zdumieniem, jakby zaprawionym odrobiną zgorszenia.

Belg jest urodzonym kupcem i lubi ścisły rachunek. Wie, że w „branży meteorologicznej" bilans roczny zawiera niezmienne od pokoleń pozycje: 165 dni deszczowych + 165 pochmurnych + 35 słonecznych = rok kalendarzowy. Skoro więc kwiecień i maj wyczerpią całoroczny kontyngent ultrafioletowych promieni, pozostałe miesiące zapowiadają się beznadziejnie.

Trudno mi współczuć w tym powszechnym zmartwieniu. Jestem z kraju, gdzie błękit nieba nie jest artykułem zreglamentowanym, a barometr sprzętem domowym, z kraju, w którym ludzie cieszą się słońcem bez rachunku. Dzisiejsza niedziela zielonoświątkowa, różowa od kasztanów kwitnących na bulwarach, pachnąca rozgrzanym asfaltem, tak bardzo przypomina mi warszawskie Zielone Święta, że nie chcę myśleć po tutejszemu — zapobiegliwie i przewidująco.

Idę wzdłuż eleganckiego, rojnego Boulevard Anspach, zastanawiając się, co robić z tym dniem zbyt jasnym dla brukselskich murów. Spędzić go zgodnie z powszechnym obyczajem na tarasie jednej z kilkuset kawiarń między Gare du Midi i Nordem — nie czuję się na siłach.

Na zegarze wiszącym pod kolumnadą Giełdy — jedenasta. W Warszawie, na Nowogrodzkiej amatorzy Podkowy Leśnej! Komorowa pewnie teraz biorą szturmem wagony EKD. Spod zwalonego mostu Kierbedzia rusza na Bielany napełniony po burty statek, pracowicie młócąc kołami burą wodę. Wzdłuż Grochowskiej, śmiesznie podrygując i przeraźliwym gwizdaniem płosząc dzieci bawiące się na szynach, biegnie do Otwocka samowarek z wagonikami jak zabawki.

Warszawa jedzie na majówkę.

A gdyby tak spróbować tutaj? Warto by zobaczyć, jak wyglądają Zielone Świątki „po brukselsku". Może uda mi się w Laeken, Bois de la Cambre, lub Tervueren odnaleźć zwierzały [illegible] Bielan czy Miłosny.

Wybieram lasek Tervueren, dokąd jedzie się prześliczną kwitnącą aleją, mijając kolosalny Arc du Cinquantenaire — miejscowy odpowiednik paryskiego Łuku Triumfalnego. Tłok w tramwaju dążym w tamtą stronę jest potwierdzeniem trafności mego wyboru. Widocznie tędy płynie jeden z głównych nurtów „weekendowej" fali. Zresztą słowa „tłok" nie należy rozumieć tak, jak je pojmuje mieszkaniec Saskiej Kępy, jeżdżący codzień „na jaskółkę" na buforze „25-tki". Tutaj ścisk panuje tylko na pomoście, podczas gdy w środku wagonu jest zupełnie luźno. To dziwactwo jest wynikiem zakazu wchodzenia do wnętrza wozu, jeśli wszystkie miejsca siedzące są zajęte. Przypomina to żywo nasze tramwaje z okresu okupacji z przedziałami „Nur für Deutsche", i w równym stopniu obraża poczucie zdrowego rozsądku. Dobrą stroną tej kombinacji jest, że zwalnia ona z obowiązku ustępowania miejsca płci słabej. Choć trzeba Belgom oddać sprawiedliwość: skoro zobaczą na pomoście matkę z dzieckiem na ręku, momentalnie zrywają się z ławek, na wyścigi ofiarowując jej miejsce. Nie ma to przy tym charakteru konwencjonalnego gestu grzeczności, lecz wypływa z powszechnego kultu, jakim otacza się tutaj macierzyństwo.

Bruksela z lotu ptaka nie przedstawia sobą nieregularnej kratownicy, jak większość wielkich miast europejskich, lecz chaotyczną plątaninę linii łamanych, przypominającą labirynty z działu rozrywek umysłowych w dziennikach. W porównaniu na przykład z Paryżem, którego główne arterie przeorują miasto brutalnie jak tory pocisków armatnich, Bruksela jest miastem zaszyfrowanym, dla obcego przez wiele miesięcy nieczytelnym. Tutaj tramwaj idący z jednego krańca miasta na drugi nie przebiega trasą możliwie najkrótszą, ale jakimś pijanym dookolnym łamańcem, nadrabiając drugie tyle drogi. Człowieka o odrobinie wyobraźni przestrzennej ten swawolny kontredans przyprawia o białą gorączkę. Czuję się jak chłopek spod Grójca, którego chytry warszawski dryndziarz wiezie z Mokotowa na Powązki przez Targową i Bródno.

Niech mi czytelnicy wybaczą tę przydługą dygresję, ale tutejsze tramwaje tak mi już dojadły, że muszę się przed kimś użalić. Plag tramwajowych jest zresztą znacznie więcej. Liczbą i dokuczliwością nie ustępują biblijnym plagom egipskim. Nie będę ich wszystkich wyliczał, bo oto nasz wehikuł udręczeń dotelepał się wreszcie do Tervueren, gdzie mam poznać świąteczną „dolce far niente" w wydaniu brukselskim.

Nie znając okolicy, idę po tropie stadka wycieczkowiczów, których wraz ze mną wyrzucił tramwaj na ostatnim przystanku. Po kilku minutach drogi nagle staję, patrząc wokoło w osłupieniu.

Więc to ma być tzw. „wypoczynek na łonie natury?!".

Przede mną zatłoczony taras wielkiej ogrodowej kawiarni, po którym moja trzódka rozbiega się w mgnieniu oka, zajmując nieliczne wolne jeszcze stoliki. Ulegając powszechnemu pędowi, zdobywam zręczną szarżą stanowisko pod jednym z kolorowych parasoli. Przy sąsiednim stoliku cztery dziewczęta blade i zmęczone upałem sączą z wysokich szklanek „Coca - Cola". Sprzedawczynie z „Inovation" lub „Bon Marché" — jednego z wielkich domów towarowych, a może studentki uniwersytetu. Tłum brukselski — poza okazami z gatunku górnych dwóch tysięcy oglądanymi zresztą tylko przez szyby luksusowych limuzyn — jest społecznie biorąc bezbarwny. Wśród niedzielnych przechodniów nie sposób odróżnić adwokata czy lekarza od właściciela sklepu spożywczego.

Noszą tak samo schludne, źle skrojone garnitury, takie same kapelusze z modnym szerokim rondem, identyczny półuśmiech zadowolenia na sytych, sennych twarzach. O, choćby ten facet w meloniku i wysokim kołnierzyku z wywiniętymi różkami, który siedzi przy stoliku naprzeciw. Z równym powodzeniem może to być przedsiębiorca pogrzebowy jak i były radca dworu.

Proszę nie doszukiwać się w tym zestawieniu aluzji do obecnej sytuacji monarchii w Belgii. Nasunął mi je jedynie uroczysty strój jegomościa i mina bazyliszka, z jaką opróżnia którąś tam z kolei szklankę piwa.

Jest w ogóle rzeczą zadziwiającą, ile oni tutaj wypijają piwa. Powszechnie u nas panujące przekonanie, że największymi na świecie piwożłopami są Niemcy, okazuje się przy zetknięciu z Belgami z gruntu fałszywe. Piją je wszyscy bez względu na wiek, płeć, stanowisko społeczne, porę roku i pogodę. Ale też trzeba przyznać — belgijskie piwo jest znakomite. I w tej chwili oczywiście króluje na wszystkich stolikach zrzadka tylko ustępując miejsca flaszkom „Coca-Cola", napoju chłodzącego o obrzydliwym smaku lekarstwa. Belgowie piją to paskudztwo przez swego rodzaju snobizm polityczny, jako że moda na „Coca-Cola" przywędrowała wraz z gumą do żucia zza oceanu.



Bruksela. Łuk Cinquntenaire wybudowany w 1880 r. w 50 rocznicę uzyskania przez Belgię niepodległości.

Belgowie są małym narodem, który ulega gustom swoich możnych przyjaciół. Nie tylko zresztą w dziedzinie napojów chłodzących. No cóż, to ich własna sprawa: ale w imię czego ja ich z kolei naśladuję, udając, że mnie bawi senna od upału atmosfera tej kawiarni. Do lasu już trafię sam. Zieleni się tam na lewo młodo i bujnie, obiecując wilgotny cień i ciszę.

Istotnie w lesie jest bardzo cicho i pusto. Siadłszy na ławce pod drzewem można marzyć, że się jest w lasku młocińskim czy w Strudze. Gdyby tak jeszcze rozrzucić po okolicy trochę zatłuszczonych papierów i puszek po konserwach UNRRA — złudzenie byłoby całkowite. Nawiasem mówiąc, brak tych charakterystycznych okazów podmiejskiej flory nie jest wynikiem jakiejś szczególnej schludności brukselczyków, ale ociężałości i wygodnictwa, które ich trzymają na tarasie kawiarni, pozwalając trawie zachować zieloną dziewiczość.

Musiałem siedzieć przeszło kwadrans, żeby doczekać się wreszcie pierwszych spacerowiczów. Młody człowiek w mundurze wojskowym, prowadząc pod ramię smukłe dziewczę zbliża się ku mojej ławce. Sadowią się obok, przy czym wojak niezwłocznie przystępuje do akcji zaczepnej, zaczynając zgodnie z zasadami taktyki bojowej od tzw. „rozpoznania terenu". Żołnierzyk, wykazujący tyle ducha ofensywnego, jest członkiem armii belgijskiej, choć czerwony pasek na ramieniu z napisem Belgia po angielsku („Belgium") mógłby wprowadzić w błąd kogoś nieświadomego rzeczy. Historia tych pasków czerwonego sukna jest taka sama jak naszych „Polandów"; z tą różnicą, że nasi żołnierze po powrocie z Zachodu odpruwają je, zrozumiawszy po kilku dniach pobytu, że to nikomu nie imponuje, a tylko razi wśród swoich. Natomiast pułki belgijskie, które biły się podczas wojny pod rozkazami Anglików, zachowały te nalepki orientacyjne, szczycąc się, że noszą na ramieniu ojczyznę nazwaną po cudzoziemsku. Ano, co kraj to obyczaj. Ciekaw jestem tylko co by powiedzieli nasi rodzimi entuzjaści zachodnich demokracji, gdyby wzorując się na przykładzie belgijskim zaopatrzyć żołnierzy I-szej i II-giej Armii w naszywki z napisem „Polsza".

Wracając do mojego sąsiada, mogę stwierdzić, że taka czy inna naszywka nie wpływa na zdolności bojowe. Kiedym po kilku minutach powyższych głębokich rozważań spojrzał w stronę mojej pary, stwierdziłem z uznaniem, że zewnętrzne umocnienia nieprzyjacielskiego punktu oporu zostały zdobyte. Mówiąc stylem „cywilnym", wargi młodziana spoczywały na tzw. „ust koralu", a jego ramię z napisem „Belgium" opasywało kibić partnerki. Odwróciłem głowę aby nie płoszyć cichego szczęścia, i po stosownej (według przeciętnych potrzeb) chwili spojrzałem znowu. Okazało się, że pocałunek jeszcze trwa. To już muszę przyznać trochę mnie dotknęło. Nie to, żebym się oburzał na całowanie się w publicznym miejscu. Po kilkumiesięcznym pobycie w Brukseli nawet Tartuffe musiałby się z tym pogodzić.

W kinie, na przystanku, w parku, czy na pomoście tramwaju — wszędzie można spotkać całujące się pary. Nikt się tym nie gorszy, i za nieprzyzwoite uważane jest jedynie natarczywe przyglądanie się takiej scenie.

Toteż całowanie się nawet o 12 w południe na środku Place de Brouckere, w najruchliwszym punkcie Brukseli jest z punktu widzenia moralności rzeczą obojętną.

Ale mój sąsiad urządził mi tu pod bokiem swego rodzaju konkurs wytrzymałości. Minęło 10 minut, a ten nawet nie wziął oddechu. Styl belgijski — już to nieraz widziałem. A swoją drogą, jak oni to robią? Z uczuciem zawistnego podziwu zerknąłem na osobliwego rekordzistę. Nie, tego już mi było za dużo! Przecież to jawna lipa! Amant leniwie drzemie na ustach grzechu i tylko na oko wygląda to na taki szał miłosny, że aż nieswojo się robi widzowi.

Zerwałem się z ławki i szybko nie oglądając się poszedłem do tramwaju. Już nie chcę szukać warszawskiego klimatu Zielonych Świątek. Wiem, że go tutaj nie stworzę. Brak mi rekwizytorów do takiej sceny. Sztywnej kawiarni, w której senni ludzie siedzą cały dzień nad szklanką piwa, nie potrafię siłą wyobraźni przemienić w roztańczoną karczmę Bochenka na bielańskiej górze. Smutny las, którego nikt nie odwiedza prócz par nieudolnie markujących miłość, nigdy nie będzie jak tamten podwarszawski lasek kipiał radością Zielonego Święta. Śmiać mi się chce, gdy próbuję wyobrazić sobie tę scenę w Tervueren.

Białe obrusy pod drzewami. Jajka na twardo, schab z chrzanem, rzymska pieczeń, no i obowiązkowo „czterdziestka". Wkoło panowie z szelkach i skarpetkach i z lekka rozmamłane panie. Zachrypnięty patefon z nieśmiertelnym tangiem „Milonga". I miłosne zwierzenia w cieniu umajonych zielenią wozów.

Il fait chaud, monsieur. Dajmy pokój wspomnieniom. Chodźmy lepiej na piwo do kawiarni pod Nordem. I trzeba zmienić tytuł tej korespondencji. To fikcja. Nie ma Zielonych Świątek „po brukselsku".

Kraj u dołu mapy

Autorem korespondencji z Nowej Zelandii, zamieszczonej w numerze poprzednim „Tygodnia", jest p. Mieczysław Kotlicki. Nazwisko jego w części nakładu zostało zniekształcone, co niniejszym prostujemy.

SPÓŁDZIELCZE CZY PAŃSTWOWE

DOMY TOWAROWE

Ostatnio fala spekulacji wywołała szereg dyskusji czynników politycznych i gospodarczych na temat przyczyn z jednej strony, a środków zaradczych z drugiej strony.

W dyskusji tej padły między innymi słowa „domy towarowe". Stworzenie w większych ośrodkach miejskich domów towarowych ma być jednym ze środków stabilizacji naszego rynku handlowego i zwalczania tendencji spekulacyjnych nieuczciwego kupiectwa. Że rola domów towarowych może być bardzo duża, nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Domy towarowe to wielkie magazyny o różnorodnym zakresie towarów od włókienniczych poprzez żelazne, szklane, galanterię itd. W domach tych kupujący ma możność obejrzenia wielkiej ilości przedmiotów i wybrania tych, które mu najwięcej odpowiadają. Domy towarowe zakupują towary z pierwszego źródła, bezpośrednio od hurtownika. Ceny w domach towarowych muszą być przeto niskie, przy tym łatwa jest w domach towarowych kontrola cen.

W dyskusji nad zagadnieniem domów towarowych sporne było nie samo zagadnienie roli domów towarowych, jako czynnika stabilizacji, lecz zagadnienie czy państwowe, czy też spółdzielcze domy towarowe lepiej potrafią spełnić to zadanie.

Na czym polega różnica między spółdzielczym i państwowym domem towarowym? Jeśli chodzi o ilość ogniw pośrednictwa, będzie ona ta sama. Państwowe domy towarowe zakupywać będą za pośrednictwem P.C.H., spółdzielnie za pośrednictwem „Społem". W obu wypadkach możliwe, a nawet pożądane są dostawy bezpośrednio z fabryk, w których P.C.H. wzgl. „Społem" uczestniczyć będzie jedynie jako kontrahent, zawierający generalną umowę z danym zjednoczeniem przemysłowym, towary zaś nie muszą w obu wypadkach przechodzić przez magazyny P.C.H. lub „Społem", o ile domy towarowe zapotrzebują je w ilościach wagonowych.

Jeśli chodzi o rodzaj i ilość towarów, to są i będą te same towary, przede wszystkim ze zjednoczeń branżowych przemysłu państwowego. Spółdzielczy dom towarowy będzie miał tu o tyle wyższość, że będzie mógł również dysponować towarami wytwarzanymi przez centrale spółdzielcze.

Lecz nie w tym tkwi zasadnicza różnica. Również ceny w państwowym i spółdzielczym domu towarowym powinny być jednakowe. Dyspozycyjność państwowych domów towarowych poprzez P.C.H. i spółdzielczych poprzez „Społem" w stosunku do czynników kierujących naszym życiem gospodarczym będzie w obu wypadkach również jednakowa.

Gdzie zatem tkwi sedno zagadnienia, na czym polegają różnice, o co toczyły się dyskusje?

Zasadniczym momentem decydującym o wyższości formy spółdzielczej w [illegible] wypadku jest sprawa kontroli sp[illegible]. Członkowie spółdzielni, zakładającej domy towarowe, mają poprzez walne zgromadzenie i radę nadzorczą bezpośredni wgląd i kontrolę w gospodarkę ich przedsiębiorstwa. Dom towarowy jest ich przedsiębiorstwem. Są oni jego współużytkownikami i współrządcami. Jeśli dom towarowy będzie źle pracował, będzie to wynikiem działalności ich samych, zrzeszonych konsumentów. Mają oni możność w każdym czasie bezpośrednio wpłynąć na zmianę stanu gospodarki. Również i wyższe ogniwo, jakim jest Centrala „Społem", podlega bezpośredniej kontroli zrzeszonych członków. Również i w „Społem", jako spółdzielni zrzeszającej inne spółdzielnie, każda zainteresowana spółdzielnia członkowska ma wpływ na kierunek działalności gospodarczej, ma prawo kontroli, ma prawo krytyki. W tym jednolitym systemie brak będzie jedynie kontroli ze strony czynnika społecznego, ze strony spółdzielczości nad wykonaniem umów, jakie „Społem" zawierać będzie ze zjednoczeniami branżowymi przemysłu państwowego. W spółdzielczym domu towarowym każdy ze zrzeszonych członków czuje się współodpowiedzialny za swoją placówkę. Ma on poczucie bezpośredniej pracy dla wspólnego dobra, bierze współudział finansowy w organizacji placówki, co w skali ogólnokrajowej również nie jest momentem do pominięcia. Niezależnie zaś od tego wszystkiego członek - współgospodarz - współtwórca nowego ładu, uzyskuje bezpośrednie korzyści w postaci taniego i gwarantowanego towaru oraz zwrotów od zakupów po sporządzeniu bilansu i podziale nadwyżki bilansowej.

Jeśli zatem spółdzielcze domy towarowe uznajemy za lepsze rozwiązanie niż państwowe, każdy z nas zapyta, dlaczego dotychczas domy te nie powstawały. Otóż tak nie jest. Domy towarowe spółdzielcze nie są nowym zagadnieniem. Ruch spółdzielczy już w roku 1945 przystąpił do energicznej akcji propagandowej w kierunku zakładania przez spółdzielnie własnych domów towarowych. Szereg takich domów istnieje i w służbie szerokich mas ludności pracującej zdaje swój egzamin. Wystarczy wspomnieć o wynikach w domach towarowych Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Bydgoszczy, lub Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Łodzi, aby stwierdzić, że domy towarowe spółdzielcze są potrzebne i że jest ich jeszcze za mało. Do rozbudowy na szeroką skalę spółdzielczych domów towarowych stają na przeszkodzie dotychczas trzy czynniki: **brak lokali, brak środków finansowych i brak towarów.**

Dom towarowy to nie jakiś skromny sklep. To pomieszczenie, w którym musi znaleźć miejsce szereg działów gospodarczych. Przy obojętnym ustosunkowaniu się czynników administracyjnych do tego zagadnienia przy istniejących trudnościach lokalowych, to olbrzymie inwestycje, na które nie stać odradzającą się spółdzielczość.

Ale poza lokalami, domy towarowe, to zagadnienie finansowe w dużej skali. Spółdzielczość mobilizuje środki finansowe wszystkich swych członków, całej klasy pracującej, jednak w wielkich przedsięwzięciach, klasie pracującej zrzeszonej w spółdzielczości należy przyjść z pomocą z zewnątrz.

Wreszcie trzeci czynnik — brak towarów i często trudności przy zawieraniu umów generalnych przez spółdzielczość ze zjednoczeniami branżowymi przemysłu państwowego.

Z tymi samymi trudnościami spotykamy się również przy organizacji państwowych domów towarowych i jeśli w trudnościach tych dla przedsięwzięć państwowych znajdzie się pomoc, to pomoc tę należy okazać w pierwszym rzędzie spółdzielczości, a nie ulega wątpliwości, że wykute w stuletniej walce o dobro człowieka charaktery tysięcy działaczy spółdzielczych, również i zagadnienie domów towarowych rozwiążą z myślą o interesie człowieka pracy.

M. Marski

BOGATA SPÓŁDZIELCZOŚĆ

W KRAJU DOBROBYTU

Rozmowa z prezesem Żerkowskim o jego wycieczce do Szwecji

Przedstawiciele „Społem" — Prezes Jan Żerkowski i członek Zarządu, Józef Jasiński — zostali zaproszeni na 48 Zjazd Szwedzkiego Związku Spółdzielczego „Kooperative Förbundet". Wysłannik naszego pisma przeprowadził rozmowę z Prezesem Żerkowskim natychmiast po jego powrocie.

Oto odpowiedzi na jego pytania.

— Celem naszej wizyty był udział w zjeździe szwedzkiej centrali spółdzielczej, z którą współpracujemy oraz omówienie spraw związanych z projektowaną na czerwiec wycieczką polskich spółdzielców do Szwecji oraz rewizytą Szwedów u nas.

— „Kooperative Förbundet" jest centralą spółdzielczą zarówno gospodarczą, jak rewizyjną i bankową. Jak na nasze stosunki łączy w sobie to, co u nas reprezentuje „Społem", Związek Rewizyjny i Bank Gospodarstwa Spółdzielczego.

— Jakkolwiek prześcignęliśmy spółdzielczość szwedzką pod względem dynamiczności i wielkości obrotów, to przecież nie dorównujemy jej rozbudowie w terenie. Dla przykładu wskażę, że w Sztokholmie spółdzielczość ma 130.000 członków na 700.000 ogółu mieszkańców. W ogóle spółdzielczość szwedzka ma 828.000 członków i ponad 700 spółdzielni. Jest to spółdzielczość przeważnie spożywcza. Rolnicza rozwinięta jest stosunkowo słabo.

— Sklepy spółdzielcze? Oczywiście dostosowane do wysokiej stopy życiowej w kraju. Zaopatrzone w bardzo bogaty asortyment towarów. Zazwyczaj występują tam zespoły 4-sklepowe: sklep kolonialny, mięsny, piekarski i rybny. Spółdzielcy szwedzcy przyobiecali spółdzielniom warszawskim urządzenie takiego właśnie 4-sklepowego zespołu, jako wzorowego.

— Również i tekstylia są przedmiotem sprzedaży w sklepach spółdzielczych, jednak spółdzielczość nie posiada własnych wytwórni tekstylnych. Posiada natomiast młyny, fabryki przetwórstwa spożywczego jak margaryny, dalej piekarnie, makaroniarnie, również fabryki obuwia i inne.

— Spółdzielczość szwedzka nastawiona jest nie tylko na dostarczenie członkom tanich produktów, ale również dostarcza im dochodów. „Kooperative Förbundet" wypłaca swoim członkom 3 proc. dywidendy. Hurt spółdzielczy wydziela 1 proc. dla spółdzielni.

— Wpływy polityczne w spółdzielczości? Nie istnieją żadne. Zdziwiono się, kiedy o to pytałem. Spółdzielczość szwedzka trzyma się ściśle zasady neutralności politycznej. Z natury rzeczy przeważają oczywiście ludzie ze stronnictw lewicowych. Jednakże lewica szwedzka jest bardzo umiarkowana. Kiedy patrzymy na zamożne domki robotnicze, pięknie położone i otoczone ogrodami, rozumiemy, iż w kraju tym kwestia socjalna właściwie nie istnieje, a więc i socjalizm musi mieć inny zupełnie charakter niż w krajach panujących, lub niedawnej jeszcze niesprawiedliwości społecznej.

— Kraj ten, oczywiście, posiada również swoje kłopoty. Kiedy o to pytałem, odpowiedziano mi, że największym kłopotem jest brak ludzi. Tempo życia wzrasta, przyrost naturalny zaś maleje. Są to inne zgoła kłopoty niż u nas. Natomiast skutków wojny w ogóle się nie odczuwa. Zresztą Szwecja nie miała przecież wojny u siebie. Życie płynie spokojnie, sprawnie, w sposób zdyscyplinowany, przy wysokiej i wyrównanej stopie życiowej. Jako przykład zdyscyplinowania niech świadczą z jednej strony obrady Kongresu, gdzie 1.200 delegatów w ciągu dwóch dni nie ruszało się podczas godzin pracy ze swojego miejsca, z drugiej strony — ruchliwy ruch ulicy, gdzie mija się ze sobą parę rowerów i kilkadziesiąt aut bez żadnych klaksonów, dzwonków i... wypadków.

— W programie naszego pobytu było także zwiedzenie ośrodka szkoleniowego dla wyższych pracowników spółdzielczości Wahrgart pod Sztokholmem, którego kierownikiem jest p. Ellwin. Również konferencja z Prezydentem Sztokholmu i prezesem tamtejszego konsumu Andersonem i przywódcą ruchu spółdzielczego w Szwecji, Albinem Johansonem.

— Przemawiałem w imieniu polskiej spółdzielczości na Kongresie i wraz z kol. Jasińskim udzieliśmy wywiadu dziennikowi „Morgen Tingingen".

— Wrażenia ogólne ze Szwecji? Ogólny dobrobyt, i uporządkowane stosunki, o czym już mówiłem. Rzeczywista demokracja polegająca na powszechności dobrobytu, czego widomym dowodem są malownicze osiedla robotnicze. Ograniczona prohibicja, polegająca na dopuszczeniu spożycia alkoholu jedynie w umiarkowanych ilościach. Mleko, spożywane przy każdej okazji. Przed obiadem, podczas i po obiedzie.

— Ponieważ podróż samolotem trwa tylko 3 i pół godziny, wrażenie powrotu do Warszawy i widok jej ruin z okien samolotu jest tym silniejsze.

Rozmowę przeprowadził
MAREK SADZEWICZ



Wnętrze domu towarowego Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Bydgoszczy.

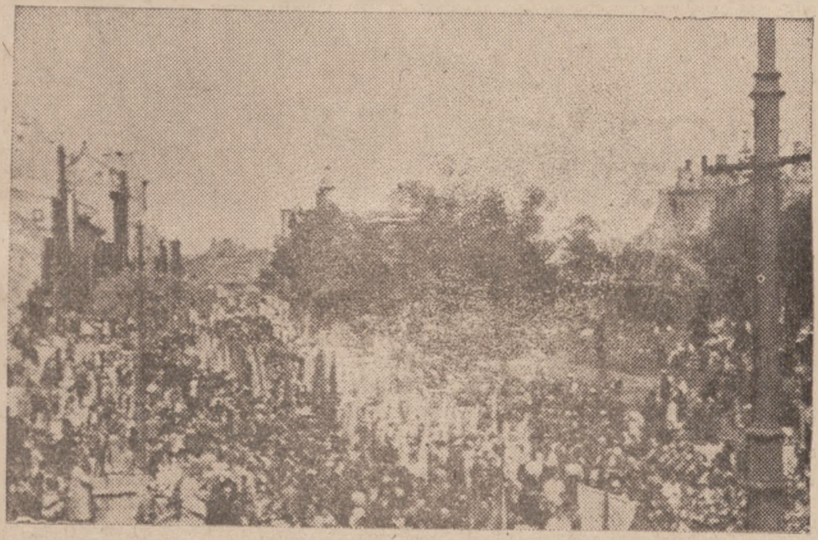
SPÓŁ
DZIEL
CZE
DOMY
TOWA
ROWE



Front domu towarowego Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Bydgoszczy

Film TYGODNIA

Boże Ciało w Warszawie



Fot. Film Polski

Na tradycyjnej procesji zgromadziły się tłumy mieszkańców stolicy

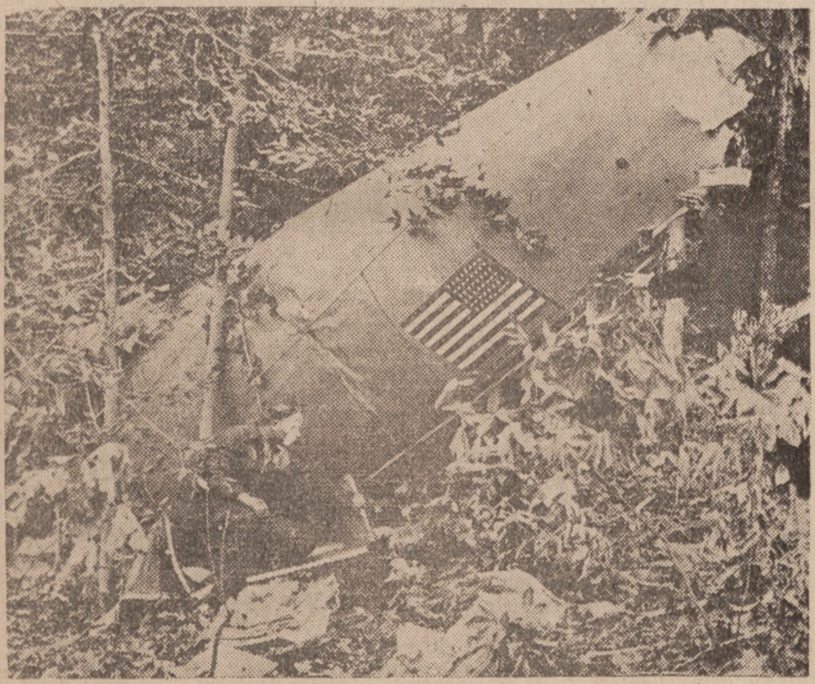
Prymas Anglii w Polsce



Fot. Film Polski

Bawiący w Polsce arcybiskup Westminsteru ks. Gryffin odwiedził między innymi klasztor O. O. Franciszkanów w Niepokalanowie.

Największa katastrofa lotnicza



Walter Ragan (po lewej) z Conowingo (stan Maryland) oraz marynarz Kenneth Levan z Waterford (New York) badają potrzaskane szczątki ogona nieszczęsnego samolotu Wschodnich Linii Lotniczych D. C. 4, który rozbił się w Fort Deposit (U. S. A.) W katastrofie tej zginęły 53 osoby spośród załogi i pasażerów. Jest to największa katastrofa w historii amerykańskiego lotnictwa cywilnego.



MAŁŻEŃSTWO KRÓLEWNY

Angielska następczyni tronu księżniczka Elżbieta nie wyjdzie za mąż za syna króla greckiego. Spowodowałoby to zbyt wielkie powikłania dyplomatyczne. Obecnie na męża jej upatrzono Anglika. Jest nim syn wicekróla Indii — lorda Moutbattena. Oto młoda para na jednym z ostatnich zdjęć.



INDIE CHCĄ SPOKOJU I NIEPODLEGŁOŚCI

Pandit Jawaharlal Nehru (po prawej, z boku), przywódca Hindusów, który niedawno wyraził zgodę na brytyjski plan przekazania władzy w Indiach, zwrócił się z gorącym apelem o jedność i odwagę dla przywrócenia powszechnego pokoju, do Hindu-Sikhskiej deputacji, w której także wzięła udział pewna ilość kobiet. Zebranie to odbyło się w rezydencji sędziego Dewan Ram Lal w Lahore (Pendżab).



Fot. Film Polski

ODBUDOWA TUNELU POSTĘPUJE NAPRZÓD

Układanie płyt betonowych na tunelu linii średnicowej w Al. Sikorskiego.



Fot. Film Polski

PRZYJAŹŃ POLSKO - HISZPAŃSKA

Na zaproszenie młodzieży polskiej przybył do Warszawy sekretarz generalny Zjednoczonej Młodzieży Socjalistycznej Hiszpanii, Santiago Carillo. — Carillo zwiedził warsztaty tramwajów miejskich w Warszawie i fabrykę im. gen. Świerczewskiego na Woli.

Tadeusz Łopalewski

FLECISTA

(Ilustrował Bronisław Wojciech Linke)



I.

Spojrzał w lustro. Jeżeli twarz, jeżeli oczy są wyrazem duszy, to teraz powinien dostrzec ślady tego, co w nim zaszło. Tym bardziej, iż przygląda się sobie umyślnie podejrzliwie, że chce odnaleźć zewnętrzne rysy — czego? aha! moralnego upadku. Upadku? Przybiegły natychmiast słowa znacznie dosadniejsze: nikczemność, łajdactwo, podłość, zdrada! Wystarczy! Do tego słowa zdążył się już przyzwyczaić. Skądinąd. Może nawet miałby prawo zastrzec je sobie na wyłączny użytek? Mniejsza z tym, gdyż oto dokoła tych wyrazów owijają się strzępy zdań usłyszanych czy przeczytanych w podobnych okolicznościach: „Jego twarz wtedy zdradzała..." Nie, wizerunek w lustrze nie zdradza nic! „Trzeba mieć tak wytarte czoło..." Z drwiącym grymasem popatrzył na swe czoło: kilka poprzecznych zmarszczek, kosmyk włosów dawno niestrzyżonych spada z prawej strony — i więcej nic. Może być dumny z tej maski, odbitej w prostokącie srebrzystego szkła, oprawionego w niklową ramkę.

W dzieciństwie i we wczesnej młodości wiele miał utrapienia z racji pobudliwości swej fizjonomii. Albo bladła, albo się czerwieniła z lada powodu. Gdy ktoś w domu, lub w szkole uważniej na niego popatrzył, Artur rumienił się po uszy. Zdawało mu się, że ów ktoś przejrzał jego najwstydliwszą tajemnicę, (a nie miał jeszcze żadnych szczególnych tajemnic), że odkrywał jakiś zapomniany nawet na spowiedzi grzech i ujawni te kompromitujące sekrety. Wtedy Artur zostanie publicznie zawstydzony i wyśmiany. A gdy już padało wprost na niego podejrzenie (na niewinnego!), twarz chłopca zalewająca się purpurą, popłoch oczu, drżenie głosu mogły do reszty upewnić badających, że mają słuszność. Wtedy Artur przysięgał się, ale przysięgom nie wierzono. To było straszne! On omdlewał z przerażenia, a to właśnie brano za dowód jego winy. I w tych czasach, jak nowotwór złośliwy rósł mu w duszy twardy żal do rodziców, do nauczycieli, do wszystkich starszych, silniejszych lub znaczniejszych od niego. Żal o ten brak zaufania, o tę niesprawiedliwość.

Wiele lat upłynęło zanim zwalczył chorobliwą wrażliwość swej twarzy. Dzień, w którym się przekonał, że może kłamać z najdoskonalszym spokojem, z miną jasną i dobroduszną, był dniem triumfu woli — za cenę klęski serca. Chodziło przecież o Laurę...

Artur odsuwa lusterko. Rok temu Laura, siedząc przed nim, karbowała sobie włosy, pociągała karminem wargi. Tu gdzieś niedawno jeszcze poniewierały się jej stare rurki z jednym ułamanym ramionkiem. Popsuł je, otwierając konserwy. Nakrzyczała na niego, że jest taki niemądry; kupiła sobie nowe. Dlatego te zostały.

Laura... — Przez chwilę zastanawia się, czy mógłby jej przebaczyć. Ale odpędził tę pokusę łatwo. Wystarczy przywołać z pamięci obraz jej zdrady.

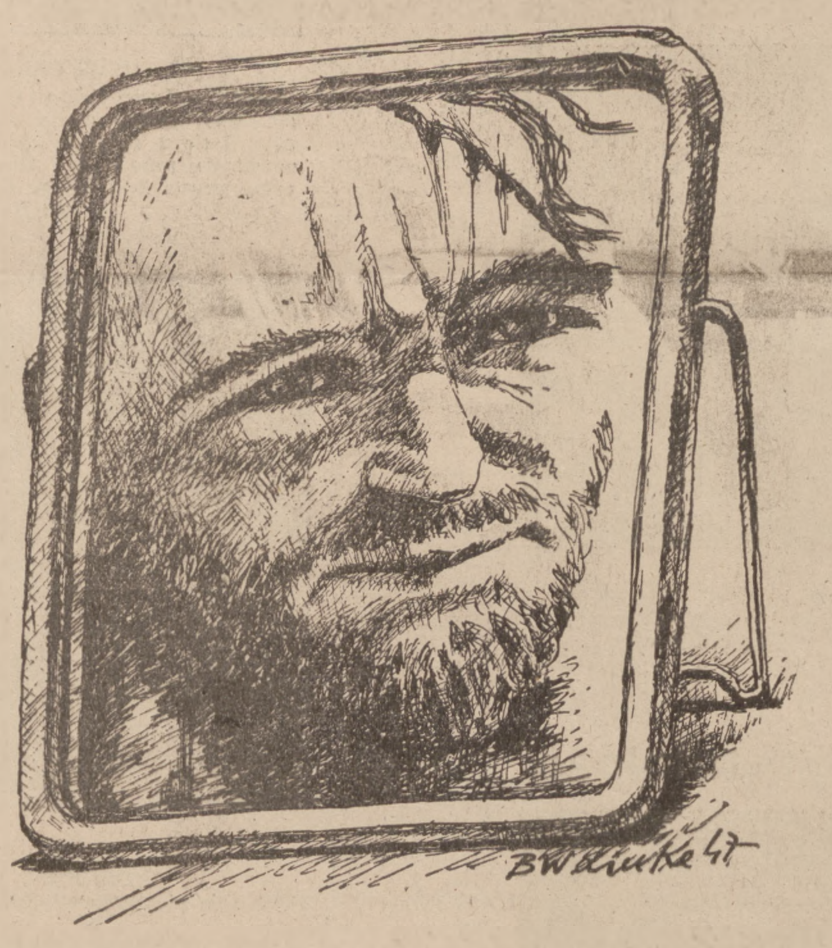
Zaczęło się od tego, że nie mogła wyliczyć się przed Arturem z godzin spędzanych bez niego. Początkowo nie podejrzewał nic. Czasem tylko wydawało mu się, że jest roztargniona, a w pieszczotach chłodniejsza. Nie tak całkowicie obecna z nim, jak w pierwszych paru latach po ślubie. Jeśli po powrocie z pracy dopytywał się, gdzie była, co robiła wtedy, gdy on ślęczał na stołku biurowym, to tylko dlatego, że pragnął gorąco, aby we współżyciu z żoną nie było żadnej luki. Aby strumień zdarzeń, tych drobnych, codziennych, który ją — gdy się na pół dnia rozstawali — unosił we wtórnym choćby odbiciu, w jej słowach przepłynął przez jego świadomość. Chętnie mu w tym służyła.

Aż nadeszła pora, gdy te przepytywania zaczęły ją drażnić. „Przecież już ci mówiłam że... to i to..." — Mówiłaś? — Myślałem widocznie wtedy o czymś innym. Pytasz tylko, żeby pytać, a wcale nie słuchasz co mówię'. Ze wstydem słuchał tych wymówek! Czyżby był, aż tak roztargniony? Stąd wzajemne żale, wymówki, pretensje. Artur podwoił czujność i uwagę. Laura usiłowała odpowiadać krótko, jasno, rzeczowo. Uspokoił się więc, lecz nie na długo. W układzie okresów jej samotności, które ulegając prośbom męża, wypełniała treścią, aby przylegały do siebie jak płyty na ścieżce, wyczuł raz i drugi jakieś niedokładności, jakieś szczeliny. Potknął się o nie, tu i tam, ale z początku nie zwrócił na to uwagi.

Aż kiedyś odsunięty apatycznym gestem Laury, wpadł na myśl, że jest ofiarą oszustwa, że ona zmyśla jedne rzeczy, by zasłonić nimi inne. Cofnął się pamięcią do swych przeżyć dziecinnych, poczuł się znów bezradny i zalękniony. Jedyna ufność, jedyna wiara, dzięki której życie miało wdzięk i uśmiech, zawisła nad próżnią. I teraz musiał się posunąć dalej: „Jeżeli człowiek zupełnie niewinny budzi podejrzenia i niepokoi się i tym właśnie umacnia pozory przeciw sobie dumał ze ściśniętym sercem — to prawdziwy winowajca zdolny jest do udawania absolutnej niewinności. A więc Laura symuluje!"

Gdy sformułował sobie w bezsenną noc ten sylogizm, zaczął od następnego dnia szpiegować żonę. Kłamał, że wychodzi do biura. W rzeczywistości przyczajał się w bramie na przeciwko i czekał. Śledził ją, pilnując się, by go nie spostrzegła. Czasami tracił ją z oczu w tłumie, gdy już zanadto chciał być ostrożny...

Rychło odkrył, że Laura odwiedza kilka różnych domów. Wizyty jej były nieregularne, zarówno co do miejsca, jak i czasu. Raz wyjechała kolejką za miasto. Nie mógł wtedy podążyć za nią, bo na pewno by go zobaczyła. „Załóżmy — rozumował — że do niektórych domów prowadzi ją interes, krawcowa, praczka, może coś jeszcze zupełnie zwyczajnego. Pozostaje parę innych, gdzie spotyka się z kochankiem. Zmieniają miejsca schadzek, by nie wpaść. Czasy są niebezpieczne".



...z drwiącym grymasem popatrzył na swe czoło.

Wreszcie ujrzał go! Wyszli razem z pewnej kamienicy. On, młody, szczupły, możnaby powiedzieć: po prostu smarkacz, w szerokim jasnym płaszczu i brążowym kapeluszu. O głowę wyższy od Laury. Prowadził ją pod rękę. Na widok tej pary Artur głęboko wciągnął powietrze w płuca ustami i odetchnął (jeżeli odetchnieniem można nazwać ostatni dech konającego).

Oni szli szybko. Artur wskoczył do tramwaju, przejechał jeden przystanek, by ich wyprzedzić. Wysiadł, wstąpił do jakiejś owocarni i ze szklanką wody sodowej przy ustach ustawił się frontem do ulicy, którędy musieli za chwilę przejść. Zęby dzwoniły mu o szkło. Chciał zobaczyć twarz tego draba.

Jakoż zobaczył: bezczelnie uśmiechniętego szczeniaka i jej profil uniesiony ku niemu i jej oczy, wpatrzone weń z pobożnym nieomal zachwytem.. Miał dosyć! Wrócił do domu. Przetrząsnął skrupulatnie rzeczy Laury. Szukał dodatkowych dowodów jej winy, długo szukał, wreszcie znalazł. Tapczan, na którym sypiała, stał na czterech niskich klockach. Artur zauważył, że jeden z nich wystaje nieco za krawędź. Inne stały równo na rogach, na właściwym miejscu. Uniósł ramę materaca. W klocku — wydrążenie, woreczek zamszowy w tym schowku. A zawierał kilka złotych monet. Aha! Więc to nie za darmo... I wtedy przeklął Laurę krótkim, ohydnym słowem, które w parę godzin później wykrzyknął jej prosto w twarz...

...Znowu spojrzał w lustro: przecież wspomnienie tamtych przejść poruszyło go mocno. Twarz jednak w dalszym ciągu jest spokojna, nie wyraża nic...

Pieniądze! Więc chodziło jej również o pieniądze! Nie wystarczały te grosze, które on — niezdolny do spekulowania, do kombinowania w wojennym zamęcie — urzędniczyna w biurze handlu drzewem, zarabiał i oddawał jej na pierwszego.

...Dzisiaj ma pieniądze. Czuje je w tylnej kieszeni spodni, tę paczkę nowiutkich banknotów, odebraną niedawno w gabinecie szefa razem z nową, jeszcze ważniejszą niż pierwsza legitymacją. Ta legitymacja! Gdybym ją miał tamtego dnia. Wystarczyłoby podejść do pierwszego lepszego policjanta, czy żandarma, wyjąć ten żółty kartonik z czarną, okrągłą pieczątką i wskazać głową na owego typa w jasnym płaszczu, uprowadzającego mu żonę. Zapóźno się to wszystko stało. Zemsta wstecz nie działa. Słońce zagląda przez dawno niemyte szyby. Jest wysoko, nad dachem przeciwległej oficyny. Zegarek wskazuje jedenastą.

Artur wkłada przydymione okulary, naciąga długie zniszczone palto z kieszeniami odstającymi jak sakwy, bierze flet, nasuwa wytłuszczony kapelusz na czoło.

Schodzi powoli z czwartego piętra na dół. Posterunek wyznaczony mu na dzisiaj znajduje się daleko stąd. Ale pójdzie pieszo, ma czas. Kroczy ulicą, nie zwracając uwagi na ludzi. I znów myśli o żonie. Kusi go jednak, by ją odszukać i wyciągnąć do niej przebaczającą dłoń. „Jeżeli zrobiłaś to dla pieniędzy (tak jej powie) rozumiem... — Młodej, ładnej kobiecie więcej należy się od życia, niż ja ci wtedy mogłem dać. Więc teraz mam pieniądze. Żyjmy znowu razem". „Skąd masz pieniądze?" — zapyta Laura. „Mniejsza o to. Może spekuluję, może szuleruję w klubie karcianym, może kradnę... dla ciebie gotów jestem na wszystko, byle cię nie stracić. Cóż ona odpowie na to? „Kocham tamtego, wynoś się! Obraziłeś mnie śmiertelnie, nie daruję ci tego! To ty mnie obraziłaś, uczyniłaś mi największą krzywdę..." I tak dalej. Wreszcie: „Chcę o tym zapomnieć!"...

Nie, to znowu kłamstwo. Czuje, że o tamtym, co zaszło, będzie czasem zapominał, ale na zawsze nie zapomni...

Martwymi rękoma, rozbity nagłą klęską włożył złoto Laury na miejsce. Wyprostował się, odgarniając z czoła mokre od potu włosy i zaczął kręcić się po pokoju, jak zwierzę, któremu wyjęto część mózgu. Gadał na głos wyrazy bez związku. Były to i przekleństwa i wezwania do Boga. Zaciśniętą pięścią tłukł się w pierś, bił w czoło. W pewnej chwili wymierzył sam sobie kilka bolesnych policzków: masz durniu, za swoje! Dobrze ci tak! Opuszczałeś oczy na widok innych powabnych kobiet, aby Laurze w myśli nawet nie powstało, że może cię zainteresować jakakolwiek inna. Kochałeś, wierzyłeś, dostałeś za to po pysku, idioto!

I akurat zjawiła się Laura. Z miejsca uderzył w nią gradem obelg, wymysłów i przekleństw. Zdemaskował ją i obnażył w całej ohydzie. Udowodnił zdradę, napiętnował kochanka, ujawnił ukryte w tapczanie złoto. Słuchała jego gorączkowego i jadowitego bełkotu blada jak trup. Nie próbowała przeczyć. Wreszcie siepnął ramieniem w stronę drzwi: „Won!..." Wyszła. Został sam.

Cierpienie znowu rzuciło się na niego jak polip i zaczęło dusić wieloramiennymi splotami. Gdyby miał wtedy pod ręką broń, strzeliłby sobie w łeb, aby doznać ulgi. Na nieszczęście nie miał.

Upłynęła może godzina, może dwie, zanim jako tako się opanował.

Powietrze tego pokoju nasycone czadem dawnych kłamstw Laury, oparami jego męczarni paliło płuca. Wybiegł na dwór, wstąpił do jakiejś knajpy, pił wódkę. Czuł, że musi uczynić coś równie potwornego, co przywróciłoby choć na chwilę równowagę jego istnieniu i uratowało od szału.

Przy stoliku w kącie siedziała prostytutka, łypiąc na niego podczernionym oczkiem, jak ryba na haczyk, który gotowa połknąć.

— Chodź do mnie, powiedział.

Podniosła się ochoczo, podreptała o pół kroku za nim. Czekała potulnie, gdy w milczeniu otwierał mieszkanie. Wpuścił ją przed sobą, więc zaraz zaczęła się rozbierać. Ale gdy odwrócił się, by zamknąć drzwi, omusnął mu twarz wiszący na nich szlafrok Laury. Kwiecisty zapach znanych perfum poraził go, jak promień w ciemnościach. Jęknął z bólu! Dziwka przestała się rozpinać i wytrzeszczyła na osobliwego klienta iście cielęce gały. Wyszarpnął z kieszeni jakieś pieniądze, wetknął jej w garść.

— Wynoś się! — mruknął

A tam ktoś przekręcił klucz w zatrzasku. To wracała Laura, blada, z zaczerwienionymi jeszcze od łez oczyma.

W przedpokoju spotkały się obie: prostytutka i żona. Tamta wyszła najpierw, ambitnie zadzierając nos do góry. Laura znieruchomiała na moment, zaraz jednak, nie wyrzekłszy ani słowa, skierowała się na schody. Artur posępnie przyglądał się tej scenie. Nie ruszył się za próg pokoju.

...Na ulicy rozlega się przenikliwy sygnał samochodu. Wśród przechodniów powstaje zamieszanie. Znikają w bramach, wracają pośpiesznie w przeciwnym kierunku. Artur idzie obojętny na popłoch, prosto przed siebie. Jakiś chłopczyna ociera się o niego w biegu i woła półgłosem:

— Panie! Tam łapanka!...

I wnet zastępują Arturowi drogę dwie postaci w mundurach, z bagnetami na karabinach. Wtedy ospałym ruchem wydobywa swoją legitymację. Salutują, dają mu wolne przejście. Wymija ich, garbiąc się jeszcze mocniej, przyciskając do boku hebanowy drążek fletu.

...W pierwszej łapance skończyło się inaczej...

2.

Pomysł ucharakteryzowania się na ulicznego grajka przyszedł mu do głowy wtedy, gdy po okresie próbnym zaproponowano mu ściślejszą współpracę i powiedziano, że zadaniem jego na okres najbliższy będzie inwigilowanie domów, w których mają spotkania konspiratorzy. Szef skinieniem głowy zatwierdził projekt przebrania się. Ale nie patrzył na Artura. Powieki miał spuszczone, twarz jak zwykle ziemistą i zmęczoną. Obie dłonie trzymał przed sobą na biurku. Kiedy — niekiedy poruszał jedną z nich po zielonym suknie, jakby zgarniając nieuchwytne pyłki lub wygładzając fałdy sobie tylko widoczne.

Artur spoglądał na te przyjemne, prawie niemęskie ręce, ułożone tak, jakby ukrywały przed okiem profana jakiś przedmiot, zapewne talizman swej straszliwej, przeczącej niewinnemu wyglądowi potęgi. Co to może być? Zatruta szpilka? Kapsułka z cjankiem? Nie! W pewnej chwili szef zmienił pozycję, oparł łokcie o blat i zwyczajnie splótł palce. Wtedy okazało się, że dłoń jego zasłaniała dotąd malutki przycisk elektrycznego dzwonka. Ten kościany guziczek otwierał drzwi na wolność, albo na męki. Jego władca uniósł powieki i oczy swe zimne, jasno niebieskie, przerażające obojętne wszystkiemu co ludzkie, utkwił w twarzy Artura.

— A właściwie co pana skłoniło do pracy z nami? — spytał.

Artuł czuł, że teraz nietaktem byłoby powiedzieć prawdę? To jest: „Złapaliście mnie jak hycle na ulicy. Bałem się, że połamiecie mi kości. Bałem się bólu. Dosyć się go już najadłem". Odpowiedział przeto inaczej, wyznał półprawdę:

— Potrzebowałem pieniędzy. Chcę żyć... A poza tym chcę się zemścić na kimś, kto uwiódł mi żonę.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem.

Zapadło milczenie. Powieki znów zsunęły się na jasne źrenice. Ale twarz nie stała się przez to ciemniejsza.

— Uprzedzono pana, że z nami można zacząć pracować dobrowolnie, ale nie można rzucić tej pracy kiedy się chce.

— Tak.

— My rozwiązujemy stosunek służbowy, kiedy nam wypadnie.

— Tak. Prosiłem tylko, aby... — po pauzie: — Jeżeli taki moment nadejdzie... aby stało się to bez bólu dla mnie.

— Pocóż ta krańcowość? Uczciwą służbę umiemy ocenić i nagrodzić.

Głos szefa był głuchy, lekko zachrypły. Arturowi wydawało się chwilami, że znajduje się na dnie głębokiego, ze wszech stron zamkniętego wąwozu, a słowa te dochodzą gdzieś z wysokości, spoza skał... Nie z ust człowieka.

— Pan mi wygląda na inteligenta. Jakże to więc — wobec swego narodu? Wyrzuty sumienia? Nie?

— Nie zastanawiałem się nad tym.

Szef skinął lekko głową, aprobując odpowiedź.

— To dobrze. Nie jesteśmy wrogami waszego narodu. Jako bardziej dojrzali i wyżsi kulturalnie, lepiej wiemy, czego mu do szczęścia potrzeba. Zajęliśmy się tym wbrew woli waszych przywódców. Takich, co nam przeszkadzają, niszczymy bezlitośnie. Rozumie pan?

Teraz Artur kiwnął głową: udał, że rozumie i zgadza się. Coś jak błysk wdzięczności za to, że szef podsuwa mu tę imitację podpórki moralnej, przeniknęło mu w duszę.

— Instrukcje otrzyma pan w pokoju 142. Tam też będzie pan składał meldunki. Pamiętał długo uczucie, z jakim opuszczał ów gmach, otoczony kolczastym drutem, strzeżony przez wartowników uzbrojonych w automaty. Uczucie pustki. Osobliwa czczość wszystkich zmysłów.

Przerywa wątek wspomnień, kieruje uwagę na to, co teraz go otacza.

Z kieszeni wyjmuje kartkę z adresem, sprawdza. Tak, to jest właśnie ta ulica, a to jest tamten dom, drugi od rogu, obok słupa z ogłoszeniami. Ulica dosyć ruchliwa, tramwaje na szczęście tędy nie chodzą, więc można obserwować go z naprzeciwka. Wolno przechodzi wzdłuż sklepów i zatrzymuje się przed wystawą fryzjera.

Teraz może wydobyć flet i zacząć sobie fiukać, uważnei wpatrując się przed siebie. Widać dokładnie, kto tam wchodzi, lub wychodzi z tej przeciwległej kamienicy. Tylko nie wolno już zamyślać się nad przeszłością, bawić się wspominkami. Służba! W ustach szefa brzmiało to jeszcze twardziej: „Dienst!" Jak szczęk sprężyny, zatrzaskującej kratę!

— Mamusiu, a czemu ten grajek nie patrzy na nikogo? — rozlega się dziecinny głosik.

— Pewnie mu przykro, że musi żebrać. A może ślepy? Masz, włóż mu to do kieszeni.



ze szklanką wody sodowej przy ustach...

W odstających, jak sakwy kieszeniach płaszcza gromadzą się papierki, datki litościwych przechodniów. Artur nie przerywa trelów, nie dziękuje. A flet gwiżdże staroświeckie melodie: „Kiedy ranne..." „Usta milczą..." „Staś mi z jarmarku" — i znowu da capo, bo flecista innych pieśni nie umie. Gra godzinę, dwie, trzy... Powoli drętwieją mu wzniesione ręce, cierpną wargi zwinięte, musi odpocząć. Na szczęście zapada zmierzch, świateł palić nie wolno, więc muzykant może zejść z posterunku.

Wkłada flet do futerału, bierze pod pachę i z ulgą powraca do domu. Już myśli wszystkie, jak wyżły ze smyczy spuszczone biegną w cwał zatartymi dawno tropami Laury.

...Po pewnym czasie sprawdził, że wyprowadziła się z ich dawnego mieszkania. Czy została jednak w mieście? Możliwe, że wyjechała. Gdyby ją spotkał na ulicy, z pewnością nie poznałaby go w tak obszarpanym stroju, w okularach z zarośniętą twarzą. A gdyby ją spotkał z tym fatygantem? Wystarczyłoby podejść do pierwszego lepszego policjanta lub żandarma, wyjąć swą kartę i wskazać głową: „Wziąć tam tego i zaprowadzić... Kobiety nie ruszać!" Mściwy uśmiech przewinął mu się przez usta, dym bez ognia.

Gdy Artur w domu zdejmuje płaszcz, papierki wysypują się na ziemię. To mu przypomina, że przez kilka godzin był obiektem miłosierdzia publicznego; warto obejrzeć rezultaty. Siada przed stołem i liczy pieniądze, na których mu teraz nie zależy. Liczy i dziwi się, że tak dużo mu ich nawtykano w ciągu jednego dnia. Jeżeli tę sumę pomnożyć przez trzydzieści? (mnoży zaskoczony jest wysoką cyfrą)... Oto dochód Artura jako ulicznego grajka przewyższa dochód Artura jako szpicla.

Odkrycie to jest trochę niemiłe. Tkwi w tym jakiś bezsens, trudny zresztą do uchwycenia. Usiłuje pocieszyć się... Tak, pocieszyć myślą, że nie codzień możliwy jest tak obfity zbiór groszy. Lecz nazajutrz wraca ze stójki, mając podobnie wypchane kieszenie. Uzbierał niewiele mniej. Trzeci dzień, niedziela, przynosi sumę prawie podwójną. Bezsens rośnie i dokucza co raz mocniej. No, ale przecież nie dla pieniędzy chyba to robi? Bo w poniedziałek...

W poniedziałek do inwigilowanej kamienicy wchodzi dwóch mężczyzn z wypchanymi teczkami... Flecista, obserwujący ich w lustrach fryzjerskiej wystawy, dostrzega, jak przed bramą zwalniają kroku, oglądają się nieznacznie a bystro za siebie i na boki, po czym szybko wpadają w mrok wnętrza. Artur czeka przez chwilę, gdy flet piszczy: „Tyś mi żadnego nie przyniósł podarku, lecz tyś mój, Jaśku, kochanek...", następnie pakuje instrument i oddala się żwawo. W cukierni jest budka telefoniczna. Nakręca tarczę, potem wymienia numer swej legitymacji i prosi o połączenie z pokojem numer 142. Mówi kilka wyrazów i wiesza słuchawkę. Siada przy stoliku pod oknem i zamawia sobie kawę. Kelnerka patrzy na niego nieufnie, więc płaci jej z góry. Proszę bardzo, reszty nie potrzebał...

Upływa pięć minut, dziesięć, kwadrans. Artur przeżywa emocje myśliwego w zasadzce na grubego zwierza. Wychodzi na róg ulicy w tym samym momencie, gdy pod dom od czterech dni przezeń obserwowany zajeżdżają dwie limuzyny. Wysypuje się z nich kilku cywilów i mundurowych. Paru zostaje przed bramą, inni biegiem prawie dążą na podwórze.

Na chodnikach w pobliżu robi się pusto. Arturowi nikt nie zasłania widoku. Nadstawia ucha i zdaje mu się, że słyszy tam przytłumioną mocno serię strzałów, potem coś jakby detonację... Dopiero teraz czuje, że jest strasznie zmęczony, że nogi mu mdleją.

Już nie pieszo, jak zwykle, ale tramwajem wracał do siebie.

Chmurzyło się.

Kiedy wchodził do sieni w oficynie, spadły pierwsze krople deszczu. Nie zauważył człowieka, stojącego w kącie pod schodami. Zaczął iść na górę. Na półpiętrze okno było otwarte, słyszał stuk ciężkich kropel w blaszaną krawędź parapetu.

Wstępując na drugie piętro, lewą ręką przesunął po poręczy. Deszcz pukał coraz głośniej. Tak samo jak czyjeś kroki, schodzące naprzeciw niemu z wysoka.

Uniósł głowę. Nogi szły dalej, stopień po stopniu, lecz serce stanęło mu w piersiach. Na przełęczy klatki schodowej ukazała się znana sylwetka w jasnym szerokim płaszczu, w brązowym kapeluszu, zuchwale przymrużone oczy tego młokosa. Szedł prosto na Artura po linii poręczy.

Flecista opuścił ramię, przytrzymujące czarne pudełko, chciał sięgnąć do kieszeni. Lecz tamten był już przy nim, na tym samym stopniu. Dotknął go piersią...

Zanim upuszczony futerał dotoczył się do podnóża schodów, Artur osunął się wzdłuż balustrady, zarzucił tułowiem w poprzek stopni i jak rozsypany tobół, z poplątanymi nogami i rękoma, między którymi chybotała się bezsilna już głowa, zaczął spadać i tłuc twarzą po kamiennych schodach.

3.

Laura z niechęcią obserwowała niemądre zachowywanie się Wicherka. Młody człowiek z wypiekami na twarzy spacerował po pokoju, kołysząc się w biodrach, jak tanecznica. Paplał jakieś głupstwa, śmiał się głośno z własnych dowcipów. Doprawdy był irytujący! Szczęsny ze swego kąta, ściągnąwszy krzaczaste brwi, długo milczał, ale gdy Wicherek wydobył nagle rewolwer i jak żongler zaczął podrzucać w górę, łapiąc zręcznie koziołkującą w powietrzu broń to za lufę, to za kolbę, krzyknął ostro:

— Schowaj to słyszysz!

— Zabezpieczony! — zachichotał młodzieniec — Nie bójcie się!

— Powtarzam: schowaj! To nie zabawka!

Wicherek przerwał żonglerkę, popatrzył na Szczęsnego z politowaniem i wzruszył ramionami:

— Rozkaz...

Wsunął maszynę do spodni i zwrócił się do kobiety:

— Widzisz, ja jestem jak wyścigowy koń. Nie umiem zatrzymać się na mecie tak natychmiast. Bieg skończony, tprru! i stój!... Z rozpędu muszę jeszcze trochę pobiegać. I moja spluwa, choć zrobi swą robotę, nie lubi od razu wracać do nory. Zawsze tak było...

— Smarkacz jesteś — mruknął Szczęsny.

— O proszę! Przeżyłem może więcej niż ty ze swoją czterdziestką. Ja mam lat... — Zaczął obliczać na palcach: — Trzydzieści siedem, plus dwadzieścia osiem, plus dwadzieścia, plus... ten dzisiejszy typ, ile mógł mieć lat? Tak na oko ze trzydzieści, więc plus trzydzieści. Razem sto piętnaście lat ludzkiego życia, a swoich własnych nie liczę. Dźwigam na sumieniu ciężar przeszło stulecia, ot co, moi państwo! To coś jest, to coś znaczy. Inny możeby tego nie udźwignął!...

Laura pierwszy raz widziała go bezpośrednio po akcji. Po wykonaniu wyroku, co było zlecone przez organizację Wicherkowi i Szczęsnemu, obaj przybyli do niej (mieszkała na letnisku pod miastem), aby przenocować i wyruszyć dalej na prowincję. Miała dla nich przygotowane pieniądze. Chcąc spełnić czym prędzej to, co do niej jako skarbniczki grupy należało, przygotowała dwa kwity.

Szczęsny podpisał w milczeniu i schował swoje diety, Wicherek zdziwił się urażony:

Tak mało? A czy to mi wystarczy?

— Mam taki rozkaz — sucho odrzekła Laura.

Odkąd go poznała, a minął już przeszło rok, po raz pierwszy chłopiec ten wydał jej się niemiły, nieomal odrażający. Dotąd otaczał go nimb tajemniczości. Mówiono o nim, jako o zuchwałym, ryzykanckim bojowcu. Uczestniczył w kilku zbiorowych akcjach i zawsze wychodził cało. Po masakrze na placu Królewskim, kiedy to grupa ich poniosła ciężkie straty, ranny Wicherek na długo zniknął jej z oczu. Była niespokojna o niego. Wczoraj nagle zapowiedziano jej, żeby przygotowała nocleg właśnie dla niego i jeszcze jednego towarzysza. Z bezładnej paplaniny chłopca dowiedziała się teraz, że parę godzin temu sprzątnęli jakiegoś konfidenta w mieście. Strzelał Wicherek. Wygadał się, że to już czwarte jego, jak się wyraził wypracowanie.

— Zrobione siódemką na piątkę — podkreślił z pychą, śmiejąc się z tej gry słów.

Wiadomość o tym przygnębiła ją. Więc nie tylko walki z uzbrojonym wrogiem miał w rejestrze swych czynów. Cztery wyroki — cztery morderstwa. Ten starszy pan, nazwiskiem Szczęsny, podobnie to snać odczuwał, gdyż milczał i usiłował mówić o rzeczach obojętnych.

Dostrzegł zasępienie na twarzy Laury i podczas gdy Wicherek zapisywał sobie coś w notesie, odezwał się do niej na boku:

— Nie ma rady, proszę pani, to są rzeczy konieczne. Stwierdzone było parokrotnie, że tamten drań sypał naszych. Musimy takich kończyć...

(Dokończenie na str. 10)

FLECISTA

(Dokończenie ze str. 9-ej)

— Tak, tak — szepnęła Laura w roztargnieniu. „Stwierdzone było...“ Czy aby na pewno? Czy był sąd? Czy pozwolono skazańcowi złożyć wyjaśnienia, bronić się? Wiedziała, że nie! Te procesy prowadzi się krótko, zaocznie, egzekucja spada na przestępcę, jak piorun z jasnego nieba, nie zdąży słowa pisnąć.

Ach, poznała uczucie podobne do tego, gdy Artur napadł na nią znienacka, sponiewierał, skopał. Nie była winna, ale nie mogła się bronić, nie wolno było nic wyjaśnić.

A gdy w końcu po długiej walce ze sobą wróciła, by odkryć mu swój sekret — było zapóźno... Już zdążył Artur...

— O czym się tak zamyśliłaś, Laurko?

Wicherek skończył swe zapiski i wziął ją za rękę. Już ochłonął z podniecenia, zaglądał jej w oczy prosząco. Twarz miał zupełnie jeszcze dziecinną. Czy to możliwe, że to on dzisiaj w południe zamordował człowieka? I że to nie pierwszy raz?

Gdy Szczęsny wyszedł na dwór, chłopiec przysunął się bliżej, obejmując ją ramieniem. Chciał ją pocałować w usta, ale odwróciła głowę.

— No, cóż ci jest, Wawrzynko?

Tym pieszczotliwym imieniem nazywał ją, od kiedy po zerwaniu z Arturem zbliżyła się z nim całkowicie. Dzisiaj pewnie oczekiwał od niej pieszczot, wyrazów podziwu. Nie poznał, że ona raptem ostygła dla niego, że jest jej obcy bardziej, niż przed rokiem.

— Nic! Jestem zmęczona. Pójdę zrobić wam posłania.

Nie chciał wypuścić jej z ramion.

— Będziemy nocowali ze Szczęsnym tam obok? Więc przyjdę do ciebie w nocy. Tak dawno...

— Nie — powiedziała, odsuwając jego ramię. Wtedy zdenerwował się i znowu zaczął się gorączkować. Wbiegł za nią do sąsiedniego pokoju, gdzie szykowała pościel, zaczął ciskać się, gestykulować:

— Ty dobra jesteś, Lauro, nie ma co! Tak mnie kochasz, że nie chcesz nawet przytulić się do mnie. A kiedyż cię znowu zobaczę? A przecież mogłem nie wrócić. Przecież mogłem zginąć. I co? Pożałowałabyś mnie wtedy, prawda? Więc czemu się nie cieszysz, że jestem zdrów i cały? Co ci zrobiłem?

— Nic mi nie zrobiłeś.

— Co się z tobą nagle stało?

Chwycił ją znów za rękę. Spostrzegła na mankiecie koszuli, który mu się wysunął przy tym geście, dwie małe, rdzawe plamki.

— To krew?! — żachnęła się ze zgrozą.

Roześmiał się.

— Ale skądże krew? Strzeliłem mu dwa razy w serce, gdyśmy się zetknęli piersią o pierś. Wchodził na piętro, a ja gdy go dojrzałem, zacząłem zstępować na dół. I w przejściu, przy poręczy, rozumiesz, o tak... Naparł lekko na nią i wskazującym palcem jak lufą pistoletu dotknął jej lewego boku.

Odskoczyła blada z gniewu i wstrętu:

— Przestań! Dość już tego!

Stropił się niezmiernie i został tak na środku pokoju z palcem wycelowanym w przestrzeń. Wszedł na to Szczęsny.

— No, co ty znowu wyprawiasz? — rzekł, spostrzegłszy wzburzoną twarz Laury i dziwną pozę Wicherka.

— Nic, pokazywałem jej tylko, w jaki sposób sprzątnąłem tego szpicla. A ona mówi — krew...

Szczęsny spojrzał nań spodełba.

— Najgorzej jak się g...rzom daje broń do ręki — mruknął.

Usłyszawszy tę obelgę, rzuconą mu wobec Laury, chłopak zatrząsł się i zzieleniał. Błyskawicznym ruchem dobył brauning:

— Coś powiedział? Powtórz no — krzyknął histerycznie.

Ale Szczęsny zmiażdżył tę drobną dłoń z rewolwerem w swojej włochatej łapie i przytrzymał narwańca. Wicherek skręcony z bólu pienił się i jęczał:

— Puść mnie zaraz! Ty tchórzu! Ty sam bałeś się zabijać! Nie obrażaj mnie, bo...

Mężczyzna bez trudu wyłuskał mu broń z bezwładnych palców i wtedy puścił go.

— Kładź ty się spać. Zdenerwowałeś panią niepotrzebnie. Niech pani już nas zostawi — zwrócił się do Laury. To jest nieszczęście, że my musimy takie rzeczy robić, a jeszcze gorzej, że do każdej „rozwałki“ zgłasza się dziesięciu ochotników. I wszystko przeważnie takie żółtodzioby.

Westchnął i usiadł ciężko na trzcinowym fotelu, który zaskrzypiał pod jego masywną osobą.

— Ja, proszę pani, jestem oficer zawodowy, miałem nawet trochę mniej lat niż on, gdy zacząłem służbę i włożyłem mundur. Byłem na tamtej wojnie i na tej strzelałem do ludzi, ale nigdy nie miałem uczucia, że zabijam. Nas w wojsku uczono, że zadaniem żołnierza jest obezwładnić wroga, nic więcej; uczynić go niezdolnym do walki. A teraz, jak zdjęliśmy mundury, zaczęliśmy zabijać, musimy! A tacy, jak on, co do munduru nie dorośli, od razu do ręki jeszcze poplamionej szkolnym atramentem dostali broń. Tylko po to, żeby zabijać...

Byłby może mówił dalej, lecz Laura szepnęła „dobranoc“ i nie patrząc na żadnego z nich, wyszła i zamknęła drzwi za sobą.

W głowie miała szum, a nogi omdlałe. Pożałowała teraz tych spokojnych paru lat, przeżytych z Arturem. Prozaiczny urzędnik, trzymający się zdala od wszelkich awantur w czasach, gdy cały świat ogarnęło szaleństwo, osłaniał ją niejako, wciągnąwszy w swój tryb życia, od okropności wojny. Aż ten egoizm zaczął ją razić, gdy coraz częściej w życiu okupowanego miasta wybuchy granatów i strzałów zwiastowały narastającą w podziemiach burzę. Wtedy i ona weszła do podziemi.

Przenosiła pieniądze, bibułę, z bronią nie miała do czynienia. Ale imponowali jej niezmiernie ci, co wychodzili na pierwszą linię walki. Należał do nich Wicherek. Więc przyjmowała jego zaloty. Lubiła go, może nawet kochała — tylko nie tak, jak wyobraził sobie zaraz Artur, mąż, tak niepodobny do tego wspaniale gardzącego niebezpieczeństwami młodzieńca.

Niepodobny! Zaniepokoiła ją nagle myśl dziwna: czy dobrze postąpiła, z góry wyłączając go od udziału w konspiracji? Może i w nim tkwiły nieruszone, nieprzeczuwane zadatki na bohatera? „Nie, odpowiedziała sobie pośpiesznie, Artur był bojaźliwy, tak niechętnie rozmawiał o tych rzeczach, że nie tylko nie wziąłby udziału w żadnych spiskach, ale i jej by przeszkadzał. Nie mogło być inaczej! Musiała odgrodzić się od niego tajemnicą...“

Rozległo się ciche pukanie. Jeżeli to Wicherek? Nie, to pewnie ten starszy, bardziej opanowany jego kolega.

— Proszę.

Istotnie, był to Szczęsny. Wszedł niemal na palcach, bez szmeru zamknął pokój.

— Usnął chłopiec — rzekł. Ta jego histeria — to z wyczerpania nerwowego, widziałem już nieraz podobne reakcje. Mimo całej bufonady — to jednak wielki wstrząs dla takiego młodzieńca, co to prosto spod skrzydeł mamusi...

Usiadł naprzeciw niej na tym skrzypiącym koszykowym fotelu i mówił dalej:

— I pani jest na to wrażliwa. Wyrozumiałem z pani zachowania się, że pewnie ma pani skrupuły, czyśmy słusznie postąpili? Nie ma żadnej wątpliwości. Niech pani posłucha... Ja dzisiaj byłem odwodem i zabezpieczeniem Wicherka. Czekałem w sieni na dole, on poszedł na piętro, gdzie tamten mieszkał. Umówione było, że ja faceta przepuszczę, a Wicherek wykończy go w górze, na klatce schodowej. Gdyby mu się strzał nie udał, albo ranny zaczął uciekać na dół, trafiłby na moją kulę. Więc tak... Ale tamten od razu się zwalił, strzałów nawet nie było słychać. Wicherek powiedział że strzelał, przytknąwszy mu lufę do płaszcza. I potem przeskoczył przez niego i od razu zbiegł na parter. Dokumenty zabrałeś? — pytam go. Nie! Zapomniałem. Kazałem mu poczekać, wróciłem i zrewidowałem kieszenie trupa. Tu właśnie są wszystkie jego papiery, zostawię pani do przekazania komendzie. Jeszcze ich nie przejrzałem dobrze, ale jeden kawałek wystarczy.

— Kto to był w ogóle? — spytała znużonym głosem. Niewiele już ją obchodziła cała ta historia, lecz rozumiała poczciwe w stosunku do niej intencje bojowca.

— Licho go wie! Udawał grajka. Wystawał godzinami to tu, to tam i świstał dla pozoru na flecie. Wywiad nasz szybko go zdemaskował. Komenda nakazała zlikwidować. No więc i dzisiaj się go zlikwidowało. A tu jest dowód jego winy, czarno na białym!

Z bocznej kieszeni wydobył płaską paczuszkę w papierze. Rozwinął ją. Na kupce papierowych pieniędzy leżała żółta legitymacja z czarną okrągłą pieczątką.

Laura skinęła głową. Tak, nie ma wątpliwości: zginął jeszcze jeden sprzedawczyk, kara śmierci była zasłużona. Ale udział Wicherka w egzekucji, sposób jej przeprowadzenia i to błaznowanie po wszystkim — w tym było coś koszmarnego.

Pod paczką banknotów znajdował się jeszcze jeden przedmiot, nieduży elegancki portfel. Szczęsny otworzył go i swymi grubymi palcami badał zawartość skórzanych przegródek. Wyciągnął jakieś kwity, jakieś notatki bez znaczenia. Wreszcie natrafił na fotografię. Trzymał ją tak, że Laura nie widziała, co przedstawia. Spostrzegła tylko, że Szczęsny raptem zasępił się, szpakowate brwi ściągnęły się w jedną krechę, nadając całej twarzy skupiony, surowy wyraz.

Gdy od fotografii przeniósł spojrzenie na nią, uczyniło się jej nieprzyjemnie. Oczy życzliwie dotąd na nią patrzące, były teraz złe, nieprzyjazne, jak u zaczajonego do skoku psa. Przez chwilę jakgdyby porównywał twarz Laury z tym jakimś wizerunkiem na zdjęciu.

A gdy zdziwiona wyciągnęła rękę, by zobaczyć, co ono przedstawia, pokręcił głową i schował je szybko do portfelu.

Więc pani nigdy nie spotykała na ulicach tego dziwnego flecisty? Przecież to była dość charakterystyczna postać. Szczupły, średniego wzrostu, szatyn z rudawym zarostem, w okularach...

— Nie, nie widziałam go nigdy.

— Tak? Więc skąd on wziął pani fotografię?!

Teraz podał ją Laurze. Poznała natychmiast: tę fotografię jej, zrobioną w czasach narzeczeńskich jeszcze, Artur zawsze nosił przy sobie.

Wyrwała Szczęsnemu cały portfel i wysypała resztę papierów. Poznała pismo męża na notatkach. Ale jeszcze nie mogła powiązać postaci flecisty, mgliście naszkicowanej przez Szczęsnego, z tymi przedmiotami.

— Pani go znała? — zapytał sucho.

— Nie, skądże... nie rozumiem. Muszę jechać tam na miejsce, zobaczyć go..

W zupełnej rozterce poderwała się z miejsca, jakby chciała już biec do kolejki. Usadził ją z powrotem na krześle.



Czyż można poznać człowieka

— Co też pani wyprawia! Przecież to upłynęło już pół dnia. Już dawno tam policja go sprzątnęła. Ale ja pani pomogę — powiedział z namysłem, a w głosie jego brzmiały złowrogie nutki.

— Nasz wywiad sfotografował na ulicy i dał nam zdjęcie do wystudiowania przed zamachem.

Sięgnął do marynarki i podał ją pomiętą nieco odbitkę, przedstawiającą mężczyznę w długim płaszczu, z wypchanymi czymś kieszeniami.

Pomimo okularów i brody, której dawniej nie nosił, mimo nasuniętego na czoło kapelusza — poznała od razu Artura.

Szczęsny świdrował ją wzrokiem. To, co ujrzał teraz na jej obliczu, wystarczyło mu zupełnie.

— Pani go znała, — powtórzył już nie w formie pytania, lecz tonem prokuratora. Nie wzruszały go ani trochę łzy, które zaczęły toczyć się po zbielałych policzkach kobiety, najpierw wolno, pojedynczymi kroplami, później coraz prędzej, gęściej, po prostu strugi płaczu.

A ona zebrała wszystkie siły, aby wydobyć głos ze ściśniętej krtani. Pragnęła sama usłyszeć siebie, wydostać się z tej przerażającej ciszy, jak z ciemnej, duszącej topieli, w którą się raptem zapadła.

— Nie znałam go — zaczęła mówić, po każdym słowie chwytając ustami powietrze — ale to był mój mąż... Bo czyż można — znowu zabrakło jej tchu, traciła resztę sił — bo czyż można poznać człowieka?...

Jeszcze poruszyła wargami. Szczęsny domyślił się raczej, niż usłyszał, że ona chciała coś powiedzieć o jakiejś winie. To już nie było dla niego ważne. Zastanawiał się tylko, czy to zemdlenie jest udane dla zmylenia jego czujności, czy prawdziwe? A jeżeli prawdziwe, to czy może być dowodem, że ta kobieta jest niewinna? Że nie miała kontaktów z tym szpiclem? Nie wiedział, co o tym sądzić.

Zakłopotany podrapał się za uchem, popatrzył na jej twarz mokrą od łez, sączących się jeszcze spod zamkniętych powiek, na bezwładną postać i, na wszelki wypadek, poszedł do kuchni po wodę, mrucząc do siebie:

— Czyż można poznać człowieka?

TADEUSZ ŁOPALEWSKI

Karol Stromenger

TEATR MONIUSZKI



St. Moniuszko wg portretu Szemesza

Minęła rocznica śmierci Stanisława Moniuszki — 75-lecie, trzy ćwierćwiecza od kiedy umarł, na atak serca, spracowany, a dopiero 53-letni kompozytor, muzyk polski. Czyżby tylko muzyk?

Przyzwyczailiśmy się widzieć w Moniuszce tylko muzyka, kompozytora, twórcę narodowej opery polskiej. Zdaje się jednak, że to rubrykowanie jest trochę ciasne, że Moniuszko jest zjawiskiem większym i ciekawszym, jeżeli go widzieć będziemy jako wielkie zjawisko — Teatru Polskiego! Oczywiście, sceny muzycznej, ale sceny polskiej z ducha Teatru Narodowego, Wojciecha Bogusławskiego. I może ważniejsza rocznica przypada na rok bieżący — stulecie pracy nad pierwszą większą operą Moniuszki nad dwuaktową „Halką".

Właśnie sto lat temu pan Stanisław Krzywda Moniuszko, 28-letni muzyk w Wilnie osiadły, sprawujący na „wileńskim ugorze" skromną funkcję organisty przy kościele św. Jana, dający licho płatne lekcje muzyki, utyskujący z powodu „nieprzyzwoitej" orkiestry miejscowej, w mieście, w którym już nie istniała opera — zabiera się do pisania polskiego dramatu muzycznego, do słów cygana-artysty-poety Włodzimierza Wolskiego. Napisał operę, raczej skecz operowy, doprowadził do jego wykonania... na wileńskiej estradzie koncertowej! Pierwsze wykonanie „Halki" odbyło się dnia 1 stycznia roku 1848-go. Rok „wiosny narodów" miał się zacząć wiosną opery polskiej.

Sam kompozytor był potrosze zdziwiony swym, jak pisze w liście, „zuchwalstwem". I mile zdziwiony też, że „poczciwi nasi muzycy orkiestry, śpiewacy kościelni i kilku amatorów połączywszy się w liczbę czterdziestu kilku osób, do rozrzewnienia, z wzrastającym w miarę ilości prób poznaniem rzeczy, gorliwie i chlubiąc się, że według sił swoich przyczyniają się do wykonania tego dziełka, pomagali mu do końca. Ile ja miałem pracy, spisać by tylko na wołowej skórze — i byłbym zginął niezawodnie, gdybym nie miał we włoskim śpiewaku Bonoldim... więcej jak rodzonego brata — ten mnie dzielnie wspierał, wyuczając głosy solowe i niektóre chórowe — sam śpiewał partię Jontka, która, sądząc sercem kompozytorskim, nigdy lepiej oddaną nie będzie. Wyobraź sobie, że były niektóre chwile prawdziwego przejęcia się zgrozą publiczności, która mając libretto drukowane przed sobą i słysząc muzykę, resztę uroku dopełniać musiała woybraźnią...

Oto już mamy sytuację Moniuszki — artysty: wykonują jego operę „dobrymi chęciami", a publiczność musi dopełniać wrażenia „własną wyobraźnią". Jeszcze nie raz w przyszłości będzie to losem dzieł teatru Moniuszki... Ale od razu publiczność czuje, prąd dramatyczny, fluid teatralny udziela się widowni, poprzez słabe wykonanie zespołu muzycznego działa nabój operowości nowego rodzaju; nigdy przed tym polska opera nie miała tak teatralnych chwytów; nigdy przed tym polska scena nie drgała taką muzyką. Charakter i sentyment, obyczaj i liryzm, kontusz i sukmana, sarmatyzm i żal słowiański, a rdzeniem jest dramat — z pazurem i zębem, z trafnym rysem i ostrym profilem. To był talent, ale równocześnie już i umiejętność sceny, źródło melodii i nerw człowieka teatru. Jakimi drogami szedł ten rasowy talent teatru, aby od razu wstępnym bojem dojść do sztuki, która przecie musiała mieć jakieś przedstopnie, jakieś wstępne okresy? Jakie było pole widzenia młodego Moniuszki w dziedzinie opery, jakimi chodami szedł jego polski styl operowy?

Opery nie spadają z nieba, style operowe nie wyskakują gotowe jak Pallas z głowy Jowisza. Bo przecie opera rośnie na grzędzie konwencji, więc tej umowy sceny z widownią — umowy, zwyczaju i mody. Umowę zmieniają ludzie postępu, autorowie, szukający nowych zjawisk teatru, a publiczność ostatecznie lubi jeżeli jej ktoś swym talentem poprzewraca jej nawyki i rubryki. Spokojnie i trzeźwo myślący Moniuszko, solidnie w praktyce muzycznej podkształcony w Berlinie, rozumiał, że trzeba mu, jako początkującemu kompozytorowi operowemu zaprawić sobie rękę w obiegowej sztuce teatru. Tej mądrości, praktycznej i dość prostej, nie miało wielu młodych muzyków, którzy pisali dla sceny a zawsze myśleli tylko o muzyce z „dodatkiem" sceny...

Scena muzyczna nie jest filozofią, ale biada, kto pisząc dla sceny, nie spłaci jej czynszu należnego. W Wilnie Moniuszko pisze naprzód operetki, operowe jednoaktówki, małe opery, drobiazg operowy. Znamy niektóre z tych pierwszych prób scenicznych Moniuszki. Są to jeszcze skromne zadatki przyszłości, widać, że kompozytor nie mierzy wysoko, ale też nie mierzy zbyt wysoko, raczej przymierza swą muzykę do praktyki teatrzyków wędrownych. Trupa Szmitkoffa gra te operetki Moniuszki, on sam słyszy i widzi te przedstawienia. Więc idzie drogą praktyki, skromnej i niemal lichej, ale przecie żywej praktyki. Tu nie chodzi tak bardzo o to, czy muzyka jest dobra, tylko, czy scena muzyczna jest żywa czy papierowa: krew sceniczna czy atrament?

A jednak krokami tych kilku operetek Moniuszko robi postępy. Od jeszcze szkolnego wypracowania („Nocleg w Apeninach") do „Loterii" i „Nowego Don Kiszota", gdzie już polsko-ludowy finał zapowiada stylistę muzycznej sceny polskiej, oto droga postępów. I zawsze autor ma sprawdzian żywego wykonania, choćby wykonania na małej scenie teatralnej, zawsze żywy teatr wyznacza drogę temu kompozytorowi, który nie pisze w próżnię, ale dla przedstawienia. A pisze z czasem śmiało, skoro po próbnych początkach zabiera się do poważnej opery „Halki".

Pisze dla sceny zwyczajowej, w rodzaju powszechnie praktykowanym, zrazu chodzi po utartych drogach, pisze w stylu bieżącym. Czy ulega wpływom? Jakim, kto mu jest wzorem?

Zamiast mówić o wpływach, lepiej mówić w tym wypadku o związkach z epoką. Nie któryś z kompozytorów oper, grywanych w czasie młodości Moniuszki, będzie mu jedynym wzorem, ale raczej wszystkie panujące wówczas style operowe. Więc i francuska opera komiczna z Auberem na czele, i Lortzing, którego opery słyszał w Berlinie, i włoskie opery Donizetti'ego dadzą Moniuszce pierwsze składniki jego stylu. Najmniej może polskie opery jego poprzedników mogą mu dać podbudowę stylu polskiego.

W Rosji już obudziła się opera narodowa, już Michał Glinka napisał „Życie za cara", „Ruslana i Ludmiłę", młodzież petersburska zareagowała oddźwiękiem na słowiańską operę narodową. Melodie ludowe — oto świeże barwy narodowe opery. Cóż, kiedy jeszcze w Polsce mało zna się polskie pieśni ludowe. Kolberg ledwie zaczyna wydawać swe pierwsze zbiory etnografii muzycznej. A jednak „Halka" już śpiewa „Jako od wichru krzew połamany" na melodię, która później znajdzie się w zbiorach Kolberga, choć dumki w „Halce" są jeszcze raczej kresowe niż polskie. Ale znów stolnik śpiewa polonezową orację. Mazur i wstępny polonez— to już czysto polska muzyka. A znów Tańce Góralskie, to czysta fantazja, bo Moniuszko nie znał muzyki Podhala.

Więc „Halka", to walka o polski styl operowy, walka zwycięska, zarówno na odcinku ludowym jak i staroszlacheckim, stanowym. Zwycięstwo przedwstępne odniosła „wileńska" dwuaktowa „Halka" — dramat niemal werystyczny, zwarty, silny. Pełniejszym zwycięstwem była warszawska „Halka", czteroaktowa, z nowymi ozdobami operowymi: polonezową oracją stolnika, z arią „Halki" „Gdyby rannym słonkiem", arią Jontka „Szumią jodły", z Mazurem i Tańcami Góralskimi.

Dziesięć lat trwało czekanie na wystawienie „Halki" w Warszawie, przewlekały je intrygi, brak zainteresowania wśród śpiewaków i publiczności. Wreszcie na Nowy Rok 1858 warszawska premiera „Halki" była triumfem. Teraz publiczność polska czekała na dalsze opery Moniuszki. Teraz i on był już majstrem sceny, a wiedział, że w Europie poza Paryżem i Auberem, powstają opery komiczne dobrego gatunku: „Marta" Flotowa, „Wesołe Kumoszki" Nicolai'ego — znał te opery, nawet znał teorie Wagnera, którego broszurę „Opera i Dramat" czytał z zainteresowaniem, ale już mu nie było potrzeba drogowskazów, a najmniej branych z niemieckich wzorów, czuł rodzimy grunt pod nogami, grunt polskiego teatru muzycznego, żywego teatru z ducha polskiej sceny. Jeszcze pozostaną pewne sympatie Moniuszki dla francuskiej opery komicznej, bo ten lekki teatr komediowy nadawał się do spolszczenia, ale i tu nie „wzór" tylko analogia, związek z epoką.

Nadawała się polska gawęda staroszlachecka do sceny muzycznej. Bo opery historyczne na polskie tematy, polski dramat romantyczny — to nie były dziedziny talentu Moniuszki. Nawet gdyby cenzura rosyjska dopuszczała takie tematy, zapewne Moniuszko nie pozostałby przy nich długo. Takie opery miałyby charakter spełnianego obowiązku patriotycznego. On ten obowiązek pojmował inaczej i spełnił go wspaniale, a w sposób... paradoksalny. Uwiedzenie dziewczyny wiejskiej przez panicza („Halka"), rozdarła suknia na balu („Hrabina"), straszenie po dworach („Straszny Dwór") — to tematy nie oficjalnie „narodowe", raczej przykłady teatru beztendencyjnego, nawet tematyka — mierząc miarą wieszczów — nieideowa. A jednak opery Moniuszki miały swą szczególną ideowość: były polskim teatrem muzycznym, beztendencyjnym z założenia, a przecie żywym i opromienionym poezją. Nie uderzały w nutę wieszczej wizji, ale mówiły o istnieniu polskiego teatru muzycznego, jedyne proroctwa, jakie wygłaszały, to były nadzieje, że te nowe dziedziny polskiego teatru będą w przyszłości kwitły dziełami następców, ku radości dalszych pokoleń... Tymczasem dziś pytamy, który z następców Moniuszki tak czuł i tak rozumiał scenę operową polską?...

Słyszy się nieraz, że gdyby opery Moniuszki były zawczasu wydane w druku, przebiegłyby wszystkie sceny świata. Szkoda, że tak się nie stało, bo nauczylibyśmy się może cenić je wyżej, mając potwierdzenie powodzenia zagranicznego polskich dzieł operowych. Ale pytamy, czy „eksportowe" walory są miarą zjawiska polskości, jaką błyszczą dzieła sceniczne Moniuszki? Czy Fredro jest nam mniej wart dlatego, że nie wszedł do stałego repertuaru teatrów zagranicznych? Czytaliśmy nawet absurdalne twierdzenia, jakoby Moniuszko „stał na przeszkodzie rozpowszechnieniu w Polsce kultu Chopina"! Wyznaczano Moniuszce miejsce „zasłużonego działacza" na niwie polskiej muzyki... Zamiast widzieć w nim zachwycające zjawisko polskiego teatru, wyznaczono mu rolę tylko „zasłużonego muzyka". Świadczyły te pomyłki, że zacieśniano znaczenie Moniuszki jedynie do polskiej muzyki i wyodrębniono go z szerszego pojęcia polskiego teatru, w którego ramach jego dzieła sceniczne błyszczą światłem właściwym. Wielu z naszych inteligentów muzycznych zdaje sobie jasno sprawę, że opera nie jest tylko rodzajem muzyki, ale przede wszystkim rodzajem teatru. Zapewne, przywrócić dawną łączność opery z teatrem dramatycznym, jak za Bogusławskiego, to już utrudnia dziś postęp specjalizacji teatralnej. Trzeba jednak wiedzieć, że ta łączność istniała, że żyło pojęcie jednolitej polskiej sceny, o jednolitym froncie wobec zaborcy, że istniała publiczność warszawska, przywiązana do polskiej sceny każdej postaci, rozumiejąca opery Moniuszki nie tylko jako popisy głosowe, ale wdzięczna Moniuszce za stworzenie polskiej sceny muzycznej, wdzięczna za — Teatr Moniuszki.

Nieznany wiersz Stanisława Moniuszki

W wieku XVIII skrzypce nazywano „arfinetem", miały one kilkadziesiąt strun metalowych, a wyglądały jak wielkie leżące cymbały, tylko, że grano na nich dotykając strun palcami, jak na harfie.

Zmarły w Wilnie 1843 r. Alojzy WILKOWSKI, major z czasów Stanisława Augusta, utrzymywał się ze strojenia fortepianów, a w chwilach wolnych grywał bardzo biegle na arfinecie. Znany był też wszystkim ówczesnym mieszkańcom Wilna ze swoich pieśni, śpiewanych przy akompaniamencie arfinetu.

Stanisław Moniuszko przyjaźnił się z majorem Wilkowskim i w 1839 r. napisał do niego wiersz następujący:

Jestże szczęśliwszy kto na świecie,
Jak my w arystowskim stanie?
Ty, szczypiąc na arfinecie,
Ja, klepiąc po fortepianie?
Myśl w dobrą chwilę poczęta,
Nigdy nie spali z panewki!
Wiwat! Niech żyją talenta,
Ja, ty, arfinet i śpiewki!

Słyszałem mówiących wielu,
Miłość najwyższą zapłatą.
Cny Kolego, przyjacielu!
Nie nam to się skarżyć na to!
Wszak łacno łowimy w pęta
Matrony i hoże dziewki?
Wiwat! Niech żyją talenta,
Ja, ty, arfinet i śpiewki!

Ktoś szczęścia szukał w żołnierce,
W łeb wzięły na lodzie zamki,
Ten w szkaplerz zaszył swe serce,
Ten dworskiej ima się klamki,
Próżno, gdy gra jest zawzięta,
Sypać na dyski, na newki.
Wiwat! Niech żyja talenta,
Ja, ty, arfinet i śpiewki!

Nam zaś fortuna choć bryka,
Zawsze wszelako wesoło,
Zawsze nam w głowie muzyka,
Choć często boso i goło.
Kolej losów niepojęta,
Lecz wesołość nie przelewki.
Wiwat! Niech żyja talenta,
Ja, ty, arfinet i śpiewki!



Dworek w Ubielu, gdzie urodził się Stanisław Moniuszko.
(wg. drzeworytu Sypniewskiego)

„CELESTYNA"

WIELKI SUKCES TEATRU WOJSKA POLSKIEGO W ŁODZI

Dotychczas dwie klasyczne postaci pierwszej wielkości w literaturze światowej: Don Kichot i Don Juan zawdzięczamy literaturze hiszpańskiej. Podobną karierę wróżyć należy trzeciej postaci, również stworzonej przez pisarza hiszpańskiego: Celestynie.

„Celestyna" Fernanda de Rojas miała już swoją wielką karierę w wieku XVI, później przygłuszona przez „Don Kichota" poszła w zapomnienie. Obecnie jesteśmy świadkami jej renesansu, który rozpoczyna scena paryska. Paryż przyjął wznowienie klasycznego dramatu hiszpańskiego jako rewelację. Z podobnym oddźwiękiem spotyka się sztuka w Polsce, gdzie została wprowadzona na scenę łódzkiego Teatru Wojska Polskiego przez Dyr. Schillera w adaptacji Acharda i świetnym przekładzie Gomulickiego.

Sama sztuka ma w swojej treści cechy dzieła „wiecznego", operuje bowiem wiecznymi elementami natury ludzkiej i w każdej epoce, w każdej kulturze i ustroju musi znaleźć żywy oddźwięk.

Dzisiejszy widz musi sobie zadać pytanie, w jaki sposób sztuka, zawierająca tak wiele ryzykownych z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej myśli i sytuacji, mogła przemknąć się przez ciasną sieć cenzury świętej Inkwizycji. Zdaje się, iż trzeba to zaliczyć na karb inteligentnego oportunizmu cenzorów, którzy zawahali się przed zbyt bezwzględnym okrojeniem dzieła, zdobywającego sobie potężny rozgłos, oraz zawierającego cechy twórczości wielkiego talentu. Zresztą „wkładki", gdzie na scenę wkracza samo „święte officjum" są dziełem późniejszej już adaptacji i nie było ich w pierwotnym tekście, napisanym w okresie aktualnej władzy groźnej instytucji, nadzorującej publikacje i sumienia.

Zresztą dla usprawiedliwienia licznych bezeceństw, dziejących się na scenie, autor wypowiada w „przedsłowiu" i prawdopodobnie również w epilogu „sens moralny" sztuki, co ma sprawić, żeby „wydźwięk" ostateczny sztuki był zgodny z obowiązującymi zasadami moralnymi.

Pomimo zastrzeżeń, wypowiedzianych przez autora bezpośrednio i niejako na marginesie, sztuka, jak każda prawdziwa sztuka tłumaczy się sama i posiada własny byt niezależny od osoby oraz prawdziwych czy udanych intencji autora. Niezależnie więc od owego, sugerowanego — być może z myślą o cenzurze świętej Inkwizycji „wydźwięku" w sztuce wyczuwa się potężny oddech człowieka, wyłamującego się z pęt statycznego i wszechogarniającego „totalnego" systemu średniowiecza. Jesteśmy przecież na skrzyżowaniu średniowiecza i renesansu. Jesteśmy w okresie, kiedy sztywny i całkowicie reglamentujący wszystkie sprawy człowiecze porządek średniowiecza ma być skruszony, kiedy czujemy już odświeżający, rewolucyjny powiew renesansu, jego hasła „homo sum...".

Jest tedy jakiś żywiołowy nihilizm i głęboki, szczery cynizm przełomu, gdzie skrępowany długo nakazami duch ludzki pragnie najpierw podeptać to, co mu przed tym kazano czcić i szanować bez szemrania, sprzeciwu i dyskusji. Soczysty, bezczelny cynizm znamionuje na przykład wspaniałą scenę, gdzie jesteśmy jednocześnie świadkami romantycznego gruchania kochanków w stylu Romea i Julii, oraz uwag pachołków obserwujących balladową sielankę.

Już sam wybór miejsca akcji, oraz centralnej postaci dramatów mówi o śmiałym ryzykanctwie pisarza. Znaczna część akcji odbywa się na terenie domu publicznego. Dwukrotnie odbywa się na scenie nieomal „dosłownie" stosunek fizyczny między mężczyzną i kobietą. Celestyna, postać tytułowa dramatu — to wiedźma - rajfurka, właścicielka lupanaru.

Czy przeto dzisiejszy widz winien ocenić sztukę jako niemoralną, naruszającą podstawy porządku społecznego



Scena z I aktu „Celestyny"
Od lewej: Sempronio (Zdzisław Szymański) Kalikst (Andrzej Łapicki) i Parmeno (Henryk Borowski).

go i etyki ogólnoludzkiej? Tu znowu popełnilibyśmy błąd, podobnie, jak błędne byłoby przyjęcie na wiarę zapewnień „przedsłowia", co do jego „oficjalnych" intencji.

Nie autor i nie prologista wypowiadają istotny sens sztuki. Demonizm i zło natury ludzkiej, chciwość, przewrotność, rozpusta, drapieżna krwiożerczość demonstrujące się we wstrząsającym panopticum poprzez 3 akty w 12 odsłonach „Celestyny", wywołać muszą w każdym audytorium uczucie grozy, obrzydzenia, potępienia. Jakiż wyjście, jakiż ratunek z tej dżungli ludzkiej znajdzie widz osaczony całym tym diabelskim młynem, gdzie satanizm wiedźmy - rajfurki króluje i góruje nad wybrykami żołdaka - alfonsa, rozpustną lekkomyślnością „pensjonariuszek" domu publicznego, samowolą młodego panka i bandytyzmem jego pachołków? Czyż nie ma żadnego wyjścia, żadnego punktu oparcia?

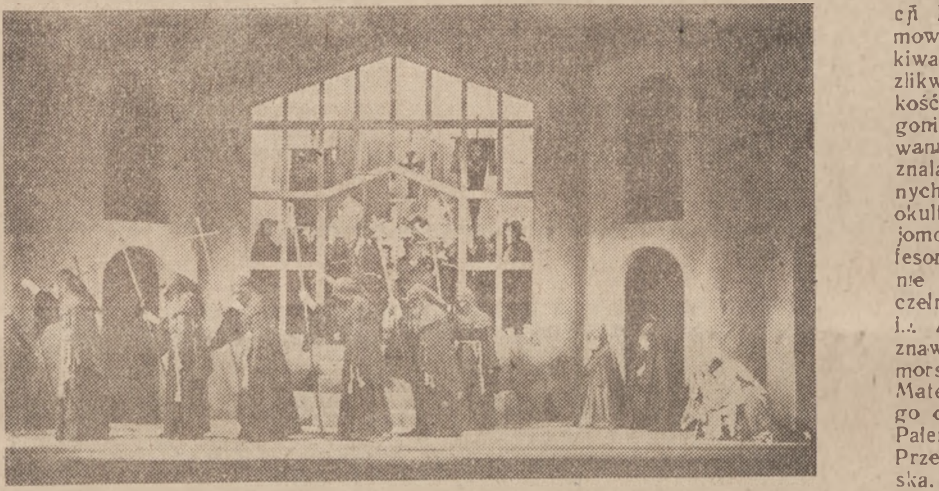
Zbójeckie narady w lupanarze przerywa odgłos dzwonów, wzywających na nabożeństwo i całe towarzystwo sutenerów, prostytutek i morderców rzuca się na kolana, żegnając się krzyżem świętym. Stara diablica — Celestyna udziela podstępnych, brudnych rad oplątanej przez siebie dziewicy, po czym każe jej uklęknąć „a teraz się pomódl". Podczas dramatu przebiegłości i zbrodni wkracza na scenę korowód postaci, jakby z innego świata, jak gdyby widm tu nieobecnych — procesja kościelna wznosząca pobożne pienia. Młody rozpustnik Don Kalikst planujący wraz z rajfurką zwabienie niewinnej dziewicy do swego łoża, wzywa co chwila wszystkich świętych z litanii. Powiązanie modlitwy i zbrodni, zewnętrznej dewocji i braku wszelkiej moralności wywołuje wrażenie wstrząsające i sugestywne, narzucając myśli istotny sens dramatu — jego sens moralny w konstrukcji negatywnej. Mówi on, iż lekarstwem na zło natury ludzkiej nie jest obłudne świętoszkostwo, narzucone pod naciskiem prawa czy obyczaju, normy zewnętrzne moralności. Pogłębiają one tylko cynizm występku, podkreślają jego ohydę i przewrotność. Dramat stawia więc choć nie rozwiązuje zagadnienie moralności wewnętrznej nie opartej na jakimkolwiek przymusie czy wyrachowaniu. W treści swojej potępia zbrodnię karząc śmiercią — z wyroku losu — ich sprawców.

Zresztą niezależnie od tych wniosków jakie narzucają się każdemu, kto przebieg dramatu Celestyny śledzi i przeżywa, sztuka posiada w wielkim stopniu tę podstawową podobno, zdaniem niektórych psychologów cechę sztuki scenicznej, która polega na oczyszczeniu moralnym widza poprzez przeżycie na scenie zła i jego ukaranie. Dlatego ryzykowne i kontrastowe momenty nie mają barwy pornografii, ani dźwięku bluźnierstwa.

Reżyseria Schillera jest pracą wielkiego artysty. Uzupełnia ją znakomita w kolorystyce, pomysłowości i plastyce sztuka dekoratorska Daszewskiego.

Czołową rolą jest oczywiście Celestyna. Kiedy obserwujemy tę postać to natychmiast narzuca się wspomnienie Wysockiej, dla której ta rola jest jakgdyby napisana.

Niemniej Jadwiga Chojnacka stworzyła kreację przekonywującą i silną.



Pochód Świętej Inkwizycji w III akcie z prawej strony Lukrecja, Melibea i Celestyna

wysuwa się stanowczo na czoło wykonawców, których gra zresztą jest wyrównana na zadowalającym poziomie. Jeżeli słyszy się zarzuty, iż Chojnacka zbyt słabo w pewnych momentach akcentuje demonizm Celestyny to podkreślić trzeba bogactwo i szeroką skalę elementów składających się na tę postać. Mieści się tam obok wciąż obecnego demonizmu również humor, jakaś niespożyta żywotność, a nawet „sui generis" dobroduszność iż pupilki są szczerze przywiązane do swej mistrzyni.

30 lat satyry polskiej

W związku z przygotowywaną przez nas antologią pt. „30 lat satyry polskiej" 1918 — 1948), która ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka", zwracamy się do autorów, bibliofilów i do tych wszystkich, którzy posiadają wyczerpane już książki, druki, teksty szopek politycznych, kompletne roczniki pism satyrycznych, jak „Pszczółka", „Szczutek", „Cyrulik Warszawski" i inne, ewentualnie pojedyncze egzemplarze tych pism, wydawnictwa futurystyczne, utwory satyryczne ludowe, utwory pisane w czasie okupacji, jednodniówki i dodatki satyryczne do pism codziennych — o przysłanie tych materiałów pod adresem: Leon Pasternak, Łódź, ulica Bandurskiego 8.

Pisma te, w razie wyrażenia zgody przez właścicieli, chętnie zakupimy. W przeciwnym wypadku prosimy uprzejmie o wypożyczenie, gwarantując zwrot tekstów w ciągu miesiąca od daty otrzymania. W razie niemożności przekazania nam materiałów, prosimy o podanie spisu posiadanych druków i sposobu, w jaki moglibyśmy z nich skorzystać.

Leon Pasternak
Jan Śpiewak

KRONIKA KULTURALNA

„Od ósmego do dwunastego roku życia przeczytałem Bukoliki Wirgiliusza i część pierwszą Eneidy, Horacego z wyjątkiem Epod, Fedrusa, pierwszą dekadę Liwiusza, całego Salustiusza, większą część Metamorfoz Owidiusza, trochę Terencjusza i Lukrecjusza, kilka mów Cycerona i jego listy do Attyka. Po grecku czytałem Iliadę i Odyseję, kilka utworów Sofoklesa, Eurypidesa i Arystofanesa, całego Tucydydesa, część Ksenofonta, Demostenesa, Ajschinesa, Anakreonta, Polibiusza i innych, w końcu Retorykę Arystotelesa". Takie wyznanie znajdujemy w „Autobiografii Johna Stuarta Milla, którą w przekładzie i z uwagami M. Szerera wydała „Wiedza".

Zastanówmy się nad tą lekturą pacholęcia. Zapytajmy, o ilu z wyliczonych pisarzy z imienia tylko słyszał współczesny nasz licealista. W przedmowie do swego przekładu tłumacz przytacza świadectwo, jakie historia wydała Millowi: „Byłoby niemożliwe wymienić filozofa, któremu dobro ludzkości bardziej leżało na sercu". I określa jego „Autobiografię" jako „szkołę charakterów". Wiemy z naszej literatury, jak twórczy był wpływ Milla (1806 — 1873) na naszych pozytywistów, zwłaszcza na Prusa, na Orzeszkową, jak kształcił on ich charaktery. Był to wielki humanitarysta. I mimo woli rodzi się pytanie, czy owa klasyczna lektura małego Milla, wciąż potem zgłębiana i poszerzana, nie stała się podwaliną jego humanitaryzmu. Pisarze klasyczni bowiem są bardzo ludzcy. I może jednym z czynników, kształcących niewątpliwy „charakter" narodu angielskiego, są języki starożytne, stanowiące ważną pozycję w programach szkolnych. Oczywista, nie trzeba z nimi przesadzać, i nie każdy w dzieciństwie może czytać tyle, co Mill. Ale umiarkowana dawka antyku nikomu nie zaszkodzi.

NARZEKAMY na brak papieru. A przecie dużo go się marnuje na wydawnictwa niepotrzebne, nieraz szkodliwe, bo grafomańskie. W „Odrodzeniu" Nr 22/131) omówiono np. kilka tomików „poezji" — z tego gatunku, który „Wiadomości Literackie" klasyfikowały niegdyś jako „książki najgorsze". W tej chwili mamy przed sobą pokaźną publikację w guście powyższym. Jest to 152-stronicowe „dzieło", porządnie wydane, w eleganckiej okładce, noszące tytuł: „Czymże jest naprawdę życie człowieka?!" (Pytajnik i wykrzyknik nie przez nas dopisany). Autor dzieła uwiecznił się na karcie tytułowej w ten sposób: „Mgr. fil. Stanisław Hryniewicz, profesor filozofii i pedagogiki państw. pedagogium w Katowicach". Dzieło więc zachowuje pozory pracy naukowej, tym bardziej godne potępienia, że na końcu dodaje obszerne „Summary" w języku angielskim, które, nie daj Boże, żeby Anglicy przeczytali. Aby ocenić wartość dzieła profesorskiego, wystarczy jego dedykacja i pierwsze zdanie przedmowy. Dzieło „poświęca Autor Bliźnim, Narodom, a przede wszystkim Organizacji Narodów Zjednoczonych", w przedmowie zaś oświadcza, że „długo poszukiwał idealnego rozwiązania problemu zlikwidowania klęsk trapiących ludzkość", jako to: „chorób duszy i ciała, pogoni za trwałym szczęściem i nieznajdywania go, krótkotrwałości życia itp". I znalazł rozwiązanie w nieprawdopodobnych koszałkach - opałkach teozoficzno - okultystyczno - antropozoficznych. O znajomości zaś „Sztuki", nad którą się profesor wiele rozwodzi, świadczy ustawienie przezeń w jednym szeregu, jako naczelnych „mistrzów" — Michała Anioła i... Ajwazowskiego, którego nazywa ze znawstwem „sławnym malarzem widoków morskich". Na trzeciego przydaje im Matejkę, „ze względu na specyficzne jego cechy". Co począć z takim dziełem? Palenie książek jest barbarzyństwem. Przemiał — to również metoda hitlerowska. Nie ma wyjścia, zwłaszcza że i z autorem też by trzeba coś zrobić.

W „LISTACH Z TEATRU" (Nr 13) Jerzy Zagórski bierze w obronę „repertuar rodzimy" teatrów krakowskich przed atakami „niektórych kół", wysuwających żądania, ażeby zwiększyć ilość wystawianych sztuk obcych. Żądania są istotnie dziwaczne. W każdym kraju, na całym świecie, podstawę każdego repertuaru teatralnego stanowią przede wszystkim sztuki rodzime, o ile, oczywista, są dobre. A teatry krakowskie mogą się pochwalić nie tylko znakomitymi wznowieniami rzeczy dawniejszych, ale i niezwykłym powodzeniem takich nowości, jak sztuki Zawieyskiego, Świrszczyńskiej, Grzybowskiej.

ST. ŁATKA

„MYŚL CHŁOPSKA"

Ukazał się pierwszy numer „Myśli Chłopskiej", miesięcznika „teoretyczno - programowego", jak głosi tytuł. Jest to organ Stronnictwa Ludowego. Na ogół jest na poziomie z małymi wyjątkami, jak np. artykuł Szyćki „Dlaczego sojusz robotniczo - chłopski", w którym autor zamiast udzielenia odpowiedzi na pytanie w tytule, polemizuje z PSL;

Artykuł wstępny Korzyckiego, sekretarza generalnego SL cztema głównymi łożyskami chce skierować ruch ludowy:

1. Przez rozwój gospodarczy wsi na drodze spółdzielczości i ruchu zawodowego;
2. Prace kulturalno - społeczno-oświatowe;
3. Pracę ogólno - wychowawczą w związkach młodzieży;
4. Ruch polityczny chłopski.

„Ruch chłopski w Polsce — wywodzi autor — nie ma ustalonych kanonów ramowych, programu zamkniętego, a jest żywy, bardziej szeroki niż inne kierunki polityczne... jest ruchem żywiołowym. I dlatego jest twórczy. W walce o program znajdzie sobie na pewno miejsce właściwe, aby obok innych zaprzyjaźnionych zespołów politycznych, tworzyć i budować zręby demokracji — lepszego jutra. Tym celom chce służyć „Myśl Chłopska", pismo przeznaczone dla przodowników i działaczy chłopskich".

Najlepszym artykułem jest niewątpliwie krótka, ale treściwa rozprawka Maurycego Jaroszyńskiego „Ruch ludowy a państwo". W sposób bardzo prosty, a bardzo kulturalny, logicznie precyzyjny i subiektywny, choć bez śladu demagogii wykazuje on, że ruch ludowy nie ma określonego światopoglądu, bo i „marksista i idealista, uniwersalista i indywidualista" mogą się w nim pomieścić.

„Przy tych wszystkich sprzecznościach, które niewątpliwie będą musiały się ścierać między sobą, ruch ludowy może i powinien zostać jednym obozem. Wiąże go bowiem w całość jeden punkt wyjścia i... wspólny program".

Wspólny punkt wyjścia to odrębność chłopska, istniejąca dzisiaj na wszystkich płaszczyznach życia, w której przeważają elementy zacofania i upośledzenia. To stwierdzenie wyznacza kierunek dążeń ruchu ludowego: „wyprowadzić warstwę chłopską, jako taką, z zacofania i upośledzenia... i wprowadzić ją w naród, państwo".

„W miarę pozytywnych osiągnięć ruchu, zanikać będzie odrębność chłopów, zacofanie i upośledzenie, a dobre elementy chłopskiej odrębności wzbogacą ogólnonarodowe wartości. Ruch ludowy po spełnieniu swych zadań straci sens istnienia. Ale ktoby się tym martwił. Raczej martwić się trzeba, że do tego jeszcze tak daleko.

Dotychczas mimo długich i ciężkich walk, mało osiągnięto. Dopiero teraz drzwi do pełni życia w narodzie zostały szeroko otwarte. To jednak jest tylko możliwością dla chłopów.

Cała praca jest do zrobienia. Jedną z dróg tej pracy jest obecna organizacja państwowa. Jest to państwo uspołecznione, zarówno w treści swoich zadań, jak i w formach ustrojowych. Stało się ono organizacją służby społecznej, zaspokajającą potrzeby całego narodu. A świat pracy, chłopi i robotnicy stają się tworzywem organów państwowych. „Społeczne organizacje, jak związki zawodowe, samorząd, spółdzielczość itd. są dziś nie przeciwstawieniem, lecz rozszerzeniem, uzupełnieniem, przedłużeniem państwa. Rady Narodowe są pionem tego uspołecznionego państwa.

Takie państwo może być użytecznym narzędziem ruchu ludowego. Masy chłopskie powinny je wykorzystać, wejść szczególnie w niższe członki organizacji państwowej, jak Rady Narodowe, samorząd, spółdzielczość, Samopomoc Chłopska, gdzie mogą się uaktywnić i wyzyskać je do pożądanego przeobrażenia wsi i całego kraju.

Ciekawy jest art. Kokoszkiewicza „Spółdzielczość na wsi", w którym autor wykazuje doniosłą rolę, jaką spółdzielczość ma do spełnienia w polskim państwie nowoczesnym. Artykuł ten jest właściwie ilustracją tez Jaroszyńskiego. Dla podniesienia produkcji chłopskich gospodarstw i powiązania jej z planem gospodarczym państwa, najlepiej nadaje się spółdzielczość, która niejako jednoczy ekonomicznie drobne gospodarstwa i przez to ma możność, oddziaływania na reglamentację i rozwój produkcji rolnej (kontraktowanie, skup, zaopatrzenie itp), bez przymusu, ale dobrowolnie. Do tego spółdzielczość musi mieć autonomiczny plan gospodarczy, uzgodniony z państwowym, samodzielny w działaniu tak na odcinku gospodarczym, jak kredytowym, z uwzględnieniem oczywiście założeń gospodarki państwowej i wreszcie mający wpływ na wysokość zarobków i cen tj. na podział dochodu społecznego. Oprócz tego dla uproszczenia i ułatwienia konieczna jest jednolitość struktury spółdzielczości wiejskiej. Istnienie kilku central, kilku aparatów działających na wsi równolegle, utrudnia akcje i wprowadza chaos.

Inne artykuły poznają nas z historią ruchu ludowego w państwie, sytuacją gospodarczą Europy, błędami polityki Stanów Zjednoczonych, kłopotami Funduszu Ziemi, stanem i możliwościami przemysłu rolnego, stosunkiem nafty i węgla do polityki międzynarodowej, rozwojem narodów słowiańskich itp. Na uwagę zasługują szczególnie artykuły: Arki Bożka „Nasz stosunek do Niemiec". bardzo rzeczowy, oraz Dąbskiego i Bartkiewicza „Z dziejów parlamentaryzmu polskiego", pierwsza chyba w Polsce tego rodzaju próba zestawienia charakteru poszczególnych polskich sejmów od początku niepodległości państwa.

Całość pisma robi wrażenie raczej korzystne, choć ekonomia zdaje się przeważać nad „teorią i programem", które zapowiadał tytuł.

Z. Jakimiak

WZOROWA SPÓŁDZIELNIA
W RUDZIE PABIANICKIEJ

Wśród spółdzielni polskich jest wiele posiadających duży rozmach, rozwijających się wspaniale. Do nich należy spółdzielnia w Rudzie Pabianickiej pod Łodzią. Warto przyjrzeć się bliżej jej pracy i organizacji.

Powstała 22 kwietnia 1945 roku. Minęły zaledwie dwa lata i oto spółdzielnia w Rudzie Pabianickiej, mającej ok. 18 tys. mieszkańców, zrzesza 3 tys. członków. Spółdzielnia posiada: 17 sklepów spożywczych, 3 sklepy bławatne, 1 dom towarowy, 1 skład węgla, po jednym sklepie z artykułami gospodarczymi, z farbami, z materiałami piśmiennymi, z pieczywem, 4 piekarnie, owocarnię, ciastkarnię i wytwórnię wód gazowych. Rozrost w tak krótkim czasie, różnorodność sklepów — są imponujące. Zaspokoić one mogą prawie wszystkie potrzeby mieszkańców Rudy. Sklep gospodarczy spółdzielni np. jest zaopatrzony w papę, smołę, cement, wapno i inne artykuły sezonowe, tak pootrzebne dla odbudowy czy remontów domów i zabudowań gospodarczych na wsi. Toteż sklep ten jest ważny dla otaczającego Rudę okręgu wiejskiego.

W okresie, kiedy aktualna była sprawa przejścia z gospodarki kartkowej na handel wolnorynkowy, Spółdzielnia i swoją gospodarkę przestawić musiała na inne tory. Zaopatrzyła się wtedy w znaczne zapasy artykułów pierwszej potrzeby, jak np. tłuszcze, jaja, oleje, miód, ryby, owoce suszone i t. p. Na święta Wielkanocne ciastkarnia miała bogate zapasy różnego rodzaju ciast i mazurków. Stale projektowane są ulepszenia, planowany dalszy rozwój. Oto piekarnia wypiekać ma specjalny chleb zdrowotny. Na zimę zostaną uruchomione kwaszarnie ogórków i kapusty, mają być założone na terenach dzierżawionych od miasta ogrody i inspekty.

Tak samo ciągły postęp wykazują obroty Spółdzielni: z 20 milionów w lutym wzrosły obecnie do 30 milionów (obrót w 1946 roku wynosił 200 milionów). Sklepy włókiennicze w akcji „przemysł dla wsi" rozprowadzają towaru co najmniej za trzy i pół miliona zł. miesięcznie. Spółdzielnia zyskała taki wpływ gospodarczy, że na swoim terenie reguluje ceny. — Wszystkie sklepy włókiennicze w Rudzie należą do Spółdzielni; prywatnych nie ma.

Rozwój Spółdzielnia zawdzięcza w dużej mierze pełnemu zrozumieniu, z jakim spotykają się jej dążenia w Związku Gospodarczym „Społem".

„Społem" dostarcza jej artykułów spożywczych i włókienniczych (na wolnym rynku spółdzielnia nie zaopatruje się zupełnie). W ten sposób sklepy spółdzielni mają towar różnorodny, zakupiony, a więc i sprzedawany po znacznie niższych cenach.

Mankamentem jest zbyt niski kredyt dla spółdzielni. Powinna mieć przyznane 20 milionów, podczas gdy otrzymuje tylko 8 i pół miliona (a więc na sklep przypada 300 tys.). Udział członkowski podniesiono obecnie do 1.000 zł. Poprawi to nieco, ale nie zmieni radykalnie sytuacji. A tak doskonale rozwijającej się i pracującej spółdzielni, jak w Rudzie Pabianickiej warto dać kredyt, umożliwiając jej tym samym dalszy rozrost i rozszerzanie wpływów. Drugą bolączką jest brak odpowiedniego, przystosowanego do sezonu towaru w sklepach włókienniczych. Spółdzielnia otrzymała np. materiał na płaszcze zimowe. Mała jest za to ilość jedwabi i kretonów. Nasz przemysł ciągle jest w niezgodzie z porami roku.

Spółdzielnia w Rudzie dba zarówno o swych członków, jak i pracowników. W okresie, kiedy dawał się odczuwać brak pewnych artykułów spożywczych, przydzielono je członkom (na przykład cukier). Pracowników szkoli się na specjalnych kursach, organizuje się wycieczki krajoznawcze. Projektowane jest, po wykończeniu remontu jednego z domów poniemieckich, uruchomienie tam świetlicy i biblioteki dla pracowników spółdzielni. Myśli się także o założeniu Gospody Spółdzielczej w Chocianowicach. Tymi drogami dąży spółdzielczość do wychowania pracownika - spółdzielcy nie tylko dobrego fachowca, ale i ideowca, który nie zysk osobisty, ale dobro społeczne postawiłby za cel swej pracy.

Na zakończenie wspomnieć należy o organizacji wewnętrznej spółdzielni w Rudzie. Zarząd składa się z trzech osób, Rada Nadzorcza z 9-ciu. Działalność Spółdzielni kontrolowana jest przez czynnik społeczny i przez Związek Rewizyjny Spółdzielni R. P.

W okresie od 15 maja br. do 15 czerwca odbywają się w sklepach Spółdzielni w Rudzie zebrania rejonowe komitetów sklepowych, na których zostaną wybrani delegaci na walne zebranie. Na zebraniu tym, które odbędzie się pod koniec czerwca pełnomocnicy dokonają wyboru nowych władz spółdzielni.

W tych dniach odbyło się nadzwyczajne zebranie członków spółdzielni, poświęcone omawianiu pewnych zmian organizacyjnych i statutowych. Zebranie zagaił prezes spółdzielni ob. Głowacki, przewodniczył wicewojewoda Górniak, który jest jednym z najczynniejszych spółdzielców w Rudzie. Ustalono, że pełnomocników na walne zgromadzenie wybierać się będzie według klucza: 1 delegat na 50 członków.

Spółdzielnia w Rudzie dąży do całkowitego zaspokojenia potrzeb mieszkańców tego miasta. Wobec inicjatywy jej członków, wobec jej dotychczasowego szybkiego rozwoju, dążenie to prawdopodobnie w niedługim czasie zostanie zrealizowane.

Z-a

Jak pracują Oddziały „Społem"

ODDZIAŁ POWIATOWY we Włocławku

Oddział Powiatowy Związku Gospodarczego Spółdzielni R.P. „Społem" we Włocławku, ul. 20-go Stycznia Nr 21. powstał jeszcze w r. 1917.

W okresie okupacji niemieckiej Oddział musiał przerwać swoją działalność, albowiem Włocławek włączony został do obszaru Rzeszy. Restytuowany po usunięciu okupanta, w marcu 1945 r. wznowił swoją działalność.

Oddział zaopatruje w towary 23 spółdzielnie różnego typu z terenu całego powiatu włocławskiego i kilkanaście spółdzielni z powiatów: nieszawskiego i lipnowskiego, związanych gospodarczo z Oddziałem we Włocławku.

Poza działem kolonialno-spożywczym Oddział prowadzi dział włókienniczy i hurtownie: soli, wyrobów P.M.S., zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych, a ponadto rozprowadza towary w ramach akcji przemysłu dla wsi, wykonując poza tym szereg akcji, zleconych przez Ministerstwo Aprowizacji i Handlu.

Obroty Oddziału w 1946 roku dały kwotę 433 miliony złotych. Preliminarz budżetowy na rok bieżący przewiduje wzrost tych obrotów do 600 milionów złotych.

Magazyny Oddziału są niedostateczne i zupełnie nieprzystosowane do potrzeb. Przewidywaną jest budowa nowych magazynów wraz z bocznicą kolejową na własnym placu przy ul. Starodębskiej. Bocznica kolejowa wybudowana będzie jeszcze w roku bieżącym.

Sieć spółdzielni w powiecie jest dostateczna. Są one jednakże gospodarczo słabe, cierpiąc na brak kapitałów.

Przy Oddziale istnieje Rada Oddziałowa, która współpracuje z Oddziałem i ze Spółdzielniami.

Kierownictwo Oddziału spoczywa w ręku p. dyr. Adam Kopysia i jego zastępcy p. Józefa Chmielewskiego. (a.)

SPÓŁDZIELNIA KSIĘGARSKO-PAPIERNICZA w Grodzisku-Mazowieckim

Z inicjatywy władz Spółdzielni Spożywców „Spółka Grodziska" powstała w 1944 r. Spółdzielnia Księgarsko - Papiernicza w Grodzisku - Mazowieckim, ul. 11-go Listopada Nr 11. Spółdzielnia prowadzi działy: księgarski, papierniczy i zabawkarski, zrzeszając 250 członków i zatrudniając 3-ch pracowników.

Obroty Spółdzielni w r. 1946 dały 3.500.000 zł.

W roku bieżącym mają wynieść 4.500.000 zł.

W najbliższym czasie Spółdzielnia zamierza otworzyć filię w Błoniu i bibliotekę — czytelnię w Grodzisku - Mazowieckim.

Kieruje Spółdzielnią p. Jan Bojarski, przewodniczący Rady Narodowej m. Grodziska Mazowieckiego. (a)

BAJECZKI
dla dużych dzieci

Janusz Odrowąż

Świadectwo

— A więc nie jesteśmy już małżeństwem — stwierdziła ona, chowając do torebki odpowiedni papier.

— Dziękuję ci za wszystko — zanucił z galenterią on. — Czy pozwolisz, że zaproszę cię na kawę? Oczywiście, mimo zmienionych warunków, ja płacę!

Pani zawahała się.

— Nie wiem, czy to wypada? No, ale, ostatecznie, nie jesteśmy obcy. Dobrze.

— Życzę ci wiele szczęścia — powiedział, gdy siedli w zacisznym kąciku baru kawowego. — Rozwód, którego żądałaś, zmartwił mnie bardzo. Ale wiem, że miałaś rację.. Byłem, rzeczywiście, okropny.

Kobieta w milczeniu piła kawę.

— Ty, Irenko, zasługujesz na lepszego człowieka. Na kogoś, kto był by moim przeciwieństwem. Chciałbym, żebyś takiego znalazła. Wiesz co? Wystawię ci świadectwo.

— Co mi wystawisz?

— Świadectwo. Dlaczego, niby, nie wprowadzić tego zwyczaju? Subiekt, który odchodzi ze swej posady, dostaje świadectwo. Urzędnik dostaje. Służąca dostaje. Kiedy przyjmują nową kucharkę, przede wszystkim oglądają jej świadectwa. To wielkie ułatwienie dla jednej i drugiej strony. Powinny być i świadectwa małżeńskie.

Pani pokręciła główką.

— Zdaje się, Romku, że ty nigdy nie będziesz umiał mówić serio. No i cóż ty byś mi napisał w tym świadectwie?

— Napisałbym... A nawet zaraz napiszę... Że byłaś najlepszą, najukochańszą żoną. Że przez trzy lata znosiłaś cierpliwie humory swego niedobrego pana. Że wyglądałaś zawsze ładnie, że umiałaś na mnie długo czekać z obiadem i kolacją. I że odchodzisz... odchodzisz na własne żądanie?

— No, a ty? Czy też chciałbyś, żebym Ci wystawiła świadectwo?

— Oczywiście.

— Nie mogłabym napisać prawdy.

— Kiedy ja chcę tylko prawdy. O, tu jest papier, wieczne pióro... Proszę, Irenko, pisz.

Pani namyślała się z uśmiechem. Pan miał minę zupełnie poważną.

— Chcesz, to ci sam podyktuję. Ja wiem najlepiej, jak było. Pisz u góry: „świadectwo”.

— Świadectwo — powtórzyła pani.

— A pod spodem: Romuald Romski, lat 31, służył mi, jak umiał, przez całe trzy lata. Czasami był na stałe, czasami na przychodnie. Do domu wracał wcześnie...

Pani spojrzała zdziwiona.

— Pisz Irenko... Do domu wracał wcześnie, bo przeważnie nad ranem.

— Może tego nie pisać — przerwała.

— Trzeba. Już napisałaś? Więc dalej: zaświadczam, że pieniądze przepijał z kolegami, że nie lubił porządku, że w dywanie, w serwetach wciąż wypalał dziury, że ciągle gubił grzebień i chlapał w łazience. Zaświadczam też, że kłócił się ze mną okropnie, to znów za całą pensję kupował dla mnie kwiaty.

— Po co ci takie świadectwo? — spytała pani, już bez uśmiechu, poważnie.

— Może się przydać. Kończymy. Jeszcze tylko tyle: zaświadczam, że był krnąbrny, niedobry, nieposłuszny, zaniedbywał swą panią choć ją bardzo kochał. Ale to, że ją aż tak kochał, pojął dopiero wtedy, gdy został wydalony. Teraz już byłby lepszy.

— Na prawdę, Romku?

— Na prawdę, Irenko.

Patrzyli sobie w oczy. Wreszcie ona spytała cicho:

— To może... podrzemy?

— Świadectwo?

— Nie... Tamto, z torebki...

Podarli.

W ramach czystości w stolicy ma się odbyć generalne odszczurzanie Warszawy

(Ry Julian Żebrowski)



PREZYDENT TOŁWIŃSKI PRZEPROWADZA AKCJĘ ODSZCZURZANIA

Dawni satyrycy o kobiecie

KORZENIOWSKI:

Żeś białogłowę,
z kości stworzył, Panie.
nie jednemu też ona
kością w gardle stanie.

MINASOWICZ:

Wiesz, co gładka dziewoja,
co jest ładna dwórka?
Raj oczom, piekło duszy.
a czyściec dla worka.

NARUSZEWICZ.

Nigdy się do końca
świata nie odmieni:
stokroć łaje chłop dziewki,
a jednak się żeni.

PRZYGODY ZAGŁOBY

Rys. Jerzy Zaruba

SPOSÓB NA PRASĘ



— Daj mi waść „Głos Ludu”.



— Teraz „Robotnika”.



— I „Gazetę Ludową”.



— Panie Zet, coś pan tak porozdzielał te gazety?
— Żeby się nie pogryzły, mosanie.

250 TYSIĘCY SKRZYŃ ŻYWNOŚCI DLA DZIECI POLSKICH

DYREKTOR NACZELNY „CARE“ U PREZESA „SPOŁEM“

Członkowie Zarządu Spółdzielni Przesyłek Amerykańskich dla Europy „C A R E“, dyr. naczelny Paul C. French, dyrektor „CARE“ na Europę Newton E. Randolph i William Hamilton złożyli wczoraj wizytę prezesowi „Społem“ J. Żerkowskiemu. W konferencji wzięli udział: dyrektor Wydziału Spożywczego „Społem“ A. Przybyliński i Sekr. Gen. Spółdz. Komisji zagranicznej M. Orsetti. Jak wiadomo „Społem“ zajmuje się rozdziałem dostarczonych do Polski przez „CARE“ paczek amerykańskich. Celem wizyty przedstawicieli „CARE“ w Polsce było zaznajomienie się z sytuacją gospodarczą i potrzebami społeczeństwa polskiego, oraz z wynikami akcji prowadzonej dotychczas przez „CARE“.

Głównym przedmiotem rozmowy z Zarządem „Społem“ była kwestia projektowanej przez „CARE“ na wielką skalę pomocy żywnościowej dla dzieci szkół polskich.

Dyrektor French oświadczył, iż „CARE“ przygotowuje 400-kilogramowe skrzynie zbiorowe dla dożywiania dzieci szkolnych. Każda taka skrzynia zawiera produkty spożywcze wystarczające dla wyżywienia 30 dzieci w ciągu miesiąca. Dyrektor French informował się, czy „Społem“ będzie w stanie rozprowadzić skrzynie żywnościowe do szkół w całej Polsce. Przedstawiciele „Społem“ zgłosili całkowitą gotowość aparatu „Społem“, który jest zresztą jedynie zdolny do przeprowadzenia takiej akcji, posiadając własną sieć na całym terenie kraju. Ponieważ „Społem“ posiada swoje oddziały we wszystkich powiatach, skrzynie żywnościowe będą dostarczane bezpośrednio do szkół.

Przy tej okazji wywiązała się charakterystyczna rozmowa.

Dyrektor Przybyliński: — W jakiej ilości spodziewać się należy skrzyń żywnościowych dla dzieci?

Dyr. French: — W pierwszym rzucie dostarczymy tytułem próby 10—15 tysięcy skrzyń. Jeżeli rozdział pójdzie dobrze...

Dyr. Przybyliński: — Rozdział musi pójść dobrze. Tu przecież chodzi o nasze dzieci. Zresztą mamy już pozytywne doświadczenie z dotychczasowego rozdziału dostarczanych przez „CARE“ paczek. Akcja rozwija się z całkowitą sprawnością.

Dyr. French: — Tak jest. Jesteśmy z całym uznaniem dla waszej organizacji. Dlatego spodziewam się, iż w przeciągu najbliższych dwóch lat rozprowadzimy 250 tysięcy 400 kg skrzyń żywnościowych dla dzieci.

Dyr. French stwierdza z uśmiechem, iż będzie to nowe, kłopotliwe i nie obliczone na jakikolwiek zysk zadanie dla „Społem“.

Prez. Żerkowski: — Jesteśmy organizacją nie tylko gospodarczą, ale również i przede wszystkim ideowo społeczną. Naszym zadaniem w myśl zasad roczdelskich jest dążenie do podniesienia bytu klas pracujących.

Z placówek wytwórczych „Społem“

Młyny automatyczne w Płocku

W Płocku istnieją dwa młyny automatyczne: nr. 1 przy ulicy Bielskiej 45, i nr 2 przy ul. Jachowicza 21. Młyny są całkowicie zmechanizowane o napędzie elektrycznym. Zdolność przemiałowa obu młynów wynosi 65 ton zboża na dobę.

Obroty młynów roku 1946 dały kwotę 60 milionów złotych. Na rok bieżący preliminowano je w wysokości 94 milionów złotych.

Młyny pracują przeważnie na potrzeby aprowizacyjne kraju. Są jednak samowystarczalne i w roku ubiegłym dały 3.200.000 zł dochodu.

Kierownikiem obu młynów jest pan dyrektor Antoni Hałłas, który w spółdzielczości pracuje od 1910 roku. (a)

Ze względów technicznych w dzisiejszym numerze nie zamieściliśmy zadań IV Konkursu „Tygodnia“ na rozrywki umysłowe, wobec czego sam konkurs ulegnie przesunięciu o jeden tydzień.

Prosimy miłośników rozrywek umysłowych o tydzień cierpliwości.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
W kolorze — 50% drożej
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka“. Warszawa Smolna 12 B—32673

Oddział powiatowy w Łasku

Oddział Powiatowy Związku Gospodarczego Spółdzieni R. P. „Społem“ w Łasku powstał w maju 1945 r. Mieści się on w dzierżawionym gmachu przy ul. Senatorskiej nr 13.

Oddział zaopatruje w towary 22 spółdzielnie, istniejące na terenie 12 gmin powiatu łaskiego, zatrudniając w chwili obecnej 43 pracowników.

W okresie dwóch lat swego istnienia Oddział poważnie się rozbudował. Wymownie świadczą o tym obroty Oddziału, które w roku 1946 preliminowano w kwocie 14 milionów złotych, a w istocie osiągnięto je w wysokości 205 milionów złotych. Na rok bieżący przewidziano globalną sumę obrotów w wysokości 240 milionów złotych, a już pierwszy kwartał br. dał sumę 90 milionów złotych. Ten wzrost obrotów z 2-ch milionów do 20 milionów miesięcznie najlepiej charakteryzuje rozwój oddziału. Należy jeszcze zaznaczyć, że 83 proc. wykazanych obrotów przypada na handel ze spółdzieniami, które w 90 proc. pokrywają swoje towarowe zapotrzebowanie w Oddziale.

Magazyny zarówno pod względem swojej pojemności, jak i przystosowania do potrzeb odpowiadają dzisiejszym wymaganiom Oddziału. Ten zadowalający stan osiągnięto jeszcze w roku ubiegłym, wznosząc kosztem 1.600.000 złotych nowe pomieszczenie magazynowe.

Dział Transportowy Oddziału dysponuje 3-ma samochodami ciężarowymi, które dowożą towary spółdzielniom.

Kierownictwo Oddziału spoczywające od listopada 1945 r. w ręku p. Dyr. Stanisława Świetlika, duży kładzie nacisk na sprzedaż produktów własnych „Społem“, których np. w marcu br. rozprowadzono w powiecie na sumę przekraczającą 1 milion złotych. (e)

Wieczorowy „mundur“

Z POKAZU NOWYCH MÓD MĘSKICH W LONDYNIE



Nowa moda męska przejmuje ducha wojskowego. Oto granatowy strój wieczorowy ma krój brytyjskiego munduru wojskowego; nylonowy, natłuszczony, nieprzemakalny garnitur można tak złożyć, że zmieści się do pochewki wielkości kieszeni. Jako materiału użyto: nylonu, sztucznego jedwabiu i miękkiej skórki

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy“ z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia.

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymało czasopismo „Tydzień“ (Warszawa, ul. Szpitalna 5) za wytrwałość w popełnianiu omyłek drukarskich.
Oto niektóre z nich:

Sfogony reżimu — zamiast: slogany reżimu;

Konspiracyjny plagiacik — zamiast: kompilacyjny plagiacik;

Adnotacja dziś zagadkowa — adnotacja dość zagadkowa;

Zobaczyć kontredansa — zatańczyć kontredansa;

Dać prysklad — dać przykład;

Żyła sobie raz Czarnej Reakcji — żyła sobie raz Czarna Reakcja;

Mistyka wypowiada się przez ciekawość — mistyka wypowiada się przez cielesność;

Bitwa pod Jenną — bitwa pod Jeną— itd. itd.

NIEODPOWIEDNI PRZEDSTAWICIELE

Minister Przemysłu i Handlu. Hilary Minc, przyjął wczoraj na dłuższej konferencji delegację... przedstawicieli Zgromadzenia Kuców m. st. W-wy — pp. Gebethnera i Hartwiga... („Express Wieczorny“ Nr 144).

Zmierzyliśmy natychmiast wzrost oby dwu panów i stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że p. Gebethner ma metr osiemdziesiąt, a p. Hartwig metr osiemdziesiąt jeden. W żadnym więc razie nie mogą reprezentować wzmiankowanego Zgromadzenia.

NIEWIADOMO CO

Zginął pies, rasa Sand-Bernard, wyżlica. Odprowadzić za nagrodą: Aleja Przyjaciół 30 m. 1. („Życie Olsztyńskie“ Nr 20).

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą, aż pies czarny bieży drogą. Czy to pies? Czy to bies? Rzecze jeden do drugiego: Czy ty widzisz psa czarnego? Czy to pies? Czy to bies? Żaden nic nie odpowiedział, żaden bowiem nic nie wiedział.. Czy to pies czy suka, wyżeł czy wyżlica, bernard czy bernardzica, George Sand czy Sarah-Bernard... A on bieży, mija — podniósł ogon i wywija. Wtem — o dziwy! W oddaleniu, na zakręcie zniknął w cieniu...

STANOWISKO NIEMĘSKIE

Do Zarzondu „Społem“, oddział w Bolesławcu.

Prosze O nadesłanie. ceny na Owies Siano i Słoma podściułkowa na Miesiąc Maj.

Majątek Libichowo dn. 12.5.1947.
Dozorca Stacji Rozpłodowej Pań
(—) Piebiak Jan.

Przesyłając nam odpis powyższego pisma. oddział „Społem“ zaznacza: Postaramy się o sprzedanie jak najlepiej słomy **podściułkowej** i siana; wątpliwe tylko, czy panie będą chciały „jeść owies“. Co do nas, sądzimy, że zachodzi tu akieś nieporozumienie. Bo gdyby rzeczywiście zakładano w Polsce stacje rozpłodowe pań, dozorcy przy nich musieliby być eunuchami. Ob. **Piebiak** z pewnością nie objąłby takiego stanowiska.

FANTASTYCZNE

We Francji, obok kartek, istnieje nielegalny czarny rynek. Jednakże ceny są fantastyczne. Np., kilogram mięsa kosztuje 430 franków, tj. 4.5 dolara według kursu oficjalnego, a 2 dolary według czarnej giełdy („Express Wieczorny“ Nr 135).

Toteż cała Francja zaopatruje się na czarnym rynku, który tym sposobem staje się oficjalnym; natomiast oficjalny nabiera charakteru czarnego. Jest to pomieszanie pojęć i odwrócenie wartości, właściwe naszym rewolucyjnym powojennym czasom.

Jan Huszcza

WSPOMNIENIA akademickie

Kiedy dogłębnie speszony, zupełnie wyprany z uczucia pewności siebie, w zaobszernym frenczu i zakrótkich spodniach, przyjechałem z bardzo głębokiej prowincji (wierzono tam np. jeszcze w 1934-tym roku wyłącznie w żółte niebezpieczeństwo!) do uniwersyteckiego miasta, celem rozpoczęcia studiów, jakiś doświadczony i wzbudzający szacunek starszy kolega protekcjonalnie poklepał mnie po ramieniu, dosmoktał ogarek „rarytasa śląskiego" i pocieszył:

— No, cóż... przyzwyczaicie się! Do najtrudniejszych na uniwersytecie należą pierwsze siedem lat, a potem pójdzie jak z płatka!

Nie można powiedzieć, żeby optymizm starszego kolegi należał do krzepiących. Mimo to, zakrzątnąłem się dokoła znalezienia możliwie taniego pokoju, kupiłem dwa kilo pomidorów (najczęstsze pożywienie studenta), uregulowałem sprawy z kwesturą, potem — nie zważając na koszta — zamówiłem 100 biletów wizytowych, mających niezbicie świadczyć o mojej nowej sytuacji w społeczeństwie: NN, student prawa i nauk społecznych, wstępując bowiem w ślady wszystkich niezorientowanych co do swoich zamiłowań, zapisałem się, oczywiście, na prawo.

Istniał jakby schemat, którego mechanizmu przyczynowego nie umiałbym jednak objaśnić i dziś:

a) niezorientowani oraz z aspiracjami literackimi — wybierali prawo (do polonistyki odnoszono się nieufnie, był to okres dyskusyj, uzasadniających konieczność jej zreformowania),

b) panny, pragnące szybko wyjść zamąż — wybierały historię,

c) panny bez nadziei na zamążpójście— archeologię,

d) młodzieńcy, kochający się w butach z długimi cholewami — rolnictwo,

e) osobnicy, żywiący niechęć do wszystkich innych istot dwunożnych — wybierali medycynę lub farmację...

Gdyby nie perspektywa egzaminów, można byłoby czuć się doskonale w tym mieście uniwersyteckim w stylu Stilleben, nature morte, w mieście nie wykazującym zbytniej agresywności wobec życia, co prowincjuszowi, od dzieciństwa przyzwyczajonemu do zwolnionego tempa, doskonale odpowiadało. O mieście można by powiedzieć dużo pięknych rzeczy: wiosna — „topaz zieleni w akwamarynie nieba", zimą — „urzekające, zmiękczone przez śnieg linie architektury", jesienią—„liściaste szeleszczące złoto, „metal" notowany jedynie na lekkomyślnej giełdzie poetyckiej.

Ale — egzaminy! O nich mówiło się od samego początku, co jednak wcale nie oznacza, że mówienie szło równolegle z pracą w bibliotece seminaryjnej.

Ci, którzy już przeszli ogniową próbę i zdążyli kilka razy „oblać się", opowiadali przerażające szczegóły. Dotyczyły one przede wszystkim wydziału prawnego, który, jako najliczniejszy, stale przeżywał wieloraki odsiew. Z tysiąca pierwszaków do magisterium bez potknięć dochodziła może setka, reszta albo zostawała na niższych kursach, albo zbyt intensywnie uprawiała życie towarzyskie, albo zmieniała wydział.

Wiem ze słyszenia, iż to dało asumpt pewnemu studentowi, już wtedy doskonałemu poecie Z..., do sparafrazowania znanego utworu: „Tysiąc walecznych wstępuje na prawo"...

Nawiasem mówiąc, znakomity poeta prawo jednak skończył, ale — krążyły słuchy — przedtem jednemu z profesorów musiał złożyć solenne przyrzeczenie, iż nigdy, pokonując dalszą drogę życiową, nie zrobi właściwego użytku z dyplomu prawnika.

Każdy egzamin, że powtórzę truizm, zawiera w sobie dużo podobieństwa do loterii: Nie zawsze pilnością i pracą, częściej sposobem i liczeniem na przypadek.

Sposób polegał na znajomości metod i profilu psychicznego profesorów. Należało wykryć, jakiego kto z nich ma „fioła" albo „konika" vel „świerszcza". Utkwiło to w świadomości tak głęboko, że gdy po wojnie ukazał się tygodnik dla dzieci „Świerszczyk" — przez pewien czas myślałem o nim jako o pożytecznym piśmie dla studentów, mającym na celu ułatwianie egzaminów i badań nad owym „profilem psychicznym".

Sprawa jest dosyć wrażliwa, ale przecież wszystkim wiadomo, iż to przypadało na godne skądinąd głębokiego szacunku grona pedagogiczno - profesorskie t. zw. mamutów, dziwaków i w ogóle ludzi opanowanych swoistym „ferdydurkizmem".

Pamiętam, wykładowca polskiego w trzeciej gimnazjalnej przez cały rok każdą lekcję zaczynał w ten sposób: „Co to jest zdanie?" Zdanie jest to myśl lub wola wyrażona albo zapisana słowami". Biada temu, kto zapytany o zdanie, odpowiedział np. tak: „Myśl lub wolę wyrażoną słowami względnie napisaną nazywamy zdaniem"... Takiego od razu spotykała dotkliwa kwalifikacja: „Siadaj, ty ośle dardanelski!...".

Skończmy jednak z tą trzecią klasą, zdobądźmy maturę i wracajmy na uniwersytet. Otóż niektórzy profesorowie mieli niezmienny repertuar pytań, toteż krążyły wśród studentów nieoficjalne, krótkie konspekty najczęściej poruszanych kwestii. U innych — ale rzadko — retoryką można było maskować niewiedzę. Nie miałem odwagi sprawdzić, lecz o jednym z nich twierdzono, iż na każde postawione pytanie można było odpowiedzieć szybką recytacją np. wiersza Karpińskiego: „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław ojczyznę miłą, w dobrych radach, w dobrym bycie"... i t. d.

Profesor dawnego prawa polskiego na egzaminie lubił widzieć przed sobą wojskowych, toteż delikwenci wypożyczali na ten czas mundury. I na odwrót: profesor prawa rzymskiego (kaducznie trudne prawo!) nie cierpiał mundurów! Toteż straszne musiało być zdziwienie owego kapitana, który po trzech niefortunnych raczej odpowiedziach, otrzymał takie pytanie:

— A za co pan ma te dwa ordery?

— Ten pierwszy za Rarańczę, zaś ten drugi za Rokitnę, panie profesorze!

— Powinien pan otrzymać jeszcze trzeci order!

— Za co, panie profesorze?

— Za odwagę! Tak jest, za odwagę, że pan się odważył z takimi wiadomościami przystąpić do egzaminu!

(Dla informacji: o ile mi wiadomo, ów kapitan nigdy nie przebrnął przez prawo rzymskie...).

Kiedy indziej znowu, w pięcioosobowym składzie w sztywnych kołnierzykach i odprasowanych spodniach, zgłosiliśmy się, że by pewnemu profesorowi zreferować swoje pojęcia o gałęzi wiedzy zw. ekonomią. Profesor grzecznie poprosił, żebyśmy usiedli i łagodnie zapytał:

— Czy czytali panowie moje artykuły w gazecie wojewódzkiej?

— Niestety...

Profesor poprosił o indeksy i wszystkim zapisał wynik, streszczający się w przykrym słowie „niedostatecznie".

Wzruszający był cywilista. „Uczcie się, koledzy — mawiał do nas, studentów — bo ja raz w Petersburgu postawiłem jednemu z waszych dyla!" („Dyl", jak wiadomo, spieszczona nazwa „pały". Pała, jak wiadomo, spieszczone określenie niedostatecznej oceny).

A kiedy jednemu „z naszych" rzeczywiście postawił, widocznie przez roztargnienie, dyla, to potem — gdy się opamiętał — w nocy chodził po mieście i szukał swojej ofiary, żeby poprawić ocenę.

Różnie ojcowską pobłażliwość staruszka tłumaczono. Podobno przeżył w swoim czasie tragedię rodzicielską, podobno jedynak, po nieudanym powtórnym egzaminie u któregoś z profesorów, popełnił samobójstwo...

Proszę mnie źle nie zrozumieć: podaję te przykłady bez złośliwej intencji uogólniania. Rzecz jasna, że w zasadzie o sukcesie na egzaminie decydowały przede wszystkim wiedza i pracowitość...

Zamiast po siedmiu, już po dwu latach bojowania na prawie doszedłem do wniosku, iż jednak świat nie doczeka się jeszcze jednej wybitnej siły prawniczej i zmieniłem nieco kierunek studiów: przeniosłem się do szkoły nauk politycznych.

Było tam bardzo przyjemnie — w oknach gmachu otwierał się widok na rzekę, na bagrownice pogłębiające jej dno, na uroczo spiętrzone dachy — ale również należało do ogólnie przyjętego zwyczaju, żeby „jednak" się uczyć.

Ten ostatni szczegół cokolwiek odstręczał.

Niemniej, wytrwałem tym razem do końca i oto, korzystając z cokolwiek spóźnionej okazji, zamieszczam ogłoszenie:

ABSOLWENT SZKOŁY NAUK POLITYCZNYCH

obejmie placówkę dyplomatyczną zaraz. Może być w Pernambuco. Horyzont umysłowy idealnie umiarkowany. Duża wprawa w prowadzeniu nieobowiązujących rozmów. Łysina reprezentacyjna. Nadaje się zarówno pod cylinder, jak i pod melonik. Umiejętność noszenia fraka niewypróbowana. Tęsknota do orderów na razie przyczajona. Łaskawe oferty na Berdyczów.

ŚWIERSZCZE I RYBY AKTORAMI FILMOWYMI

W ŻYRARDOWIE PRACUJE INSTYTUT FILMÓW OŚWIATOWYCH „FILMU POLSKIEGO"



Operator filmowy Karol Marczak z żoną, kręcą film z życia świerszczy.



Główne „aktorki" filmu oświatowego — złote rybki — czują się wspaniale w świetle jupiterów. Fot. Film Polski